



# Aleksander Dumas ojciec **TOWARZYSZE JEHU**

Tom 1

Druga część cyklu „Sainte Hermine”



**20**

ISBN 978-83-65753-74-8 (całość)  
ISBN 978-83-65753-75-5 (tom pierwszy)

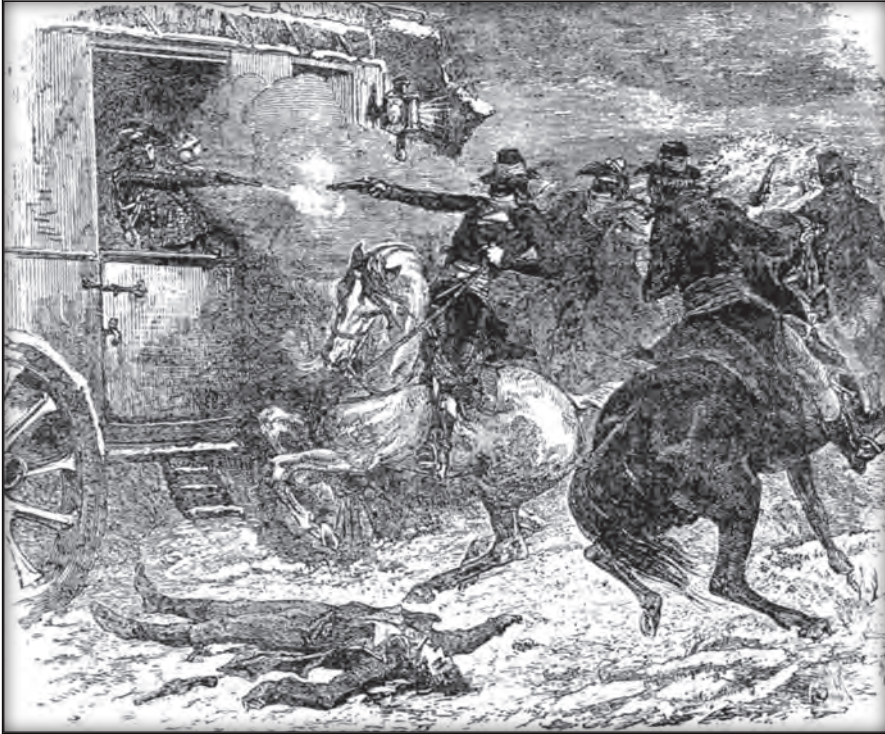


**Aleksander Dumas ojciec**  
**TOWARZYSZE JEHU**



Aleksander Dumas (1802-1870), wnuk markiza Davy de la Pailletterie i czarnej niewolnicy Marie Cesset-te Dumas z San Domingo, syn ich potomka – generała Republiki, też Aleksandra, i jego żony Marii Ludwiki Labouret – córki prowincjonalnego mieszczanina, przychodzi na świat w Villers-Cotterêts w Pikardii. Jego ojciec, bohater kampanii włoskiej, skłócony z generałem Bonaparte podczas wyprawy do Egiptu, aż do swej śmierci w 1806 nie odzyskuje życzliwości Napoleona. W 1823 roku pełen ambicji Aleksander instaluje się w Paryżu z zamiarem zrobienia kariery dramatopisarza. Bywa na spotkaniach literacko-artystycznego salonu młodych romantyków u Charles’a Nodiera w bibliotece Arsenau. W 1831 roku jego sztuka *Antony* powoduje podobny wybuch entuzjazmu jak *Hernani* Wiktora Hugo. Ale to nie teatr, lecz powieść historyczna, której poświęca się coraz bardziej, staje się jego przeznaczeniem. W roku 1844 publikuje swe najgłośniejsze dzieła: *Trzej Muszkietierowie* i *Hrabia Monte Christo*. W nadzwyczaj obfitej twórczości literackiej korzysta z pomocy współpracowników, z których najsłynniejszym jest Auguste Maquet. Powstają kolejne słynne powieści: *Królowa Margot*, *20 lat później*, *Józef Balsamo*... Pasma sukcesów i znaczące dochody umożliwiają mu budowę pałacu Monte Christo w podparyskim Port-Marly. Rozrzutny tryb życia i rozliczni „przyjaciele” doprowadzają go do bankructwa. Jego życie jest równie dynamiczne, jak akcja jego powieści. Odbywa wiele podróży, między innymi do Rosji, z których pisze bogate relacje. W 1860 roku pomaga Garibaldiemu w zjednoczeniu Italii. Przez jego życie przewijają się liczne kobiety, ale żonaty (i rozwiedziony) jest tylko raz. Wydaje gazety, kieruje teatrem. Powieść *Towarzysze Jehu*, kontynuację powstałej w 1867 roku książki *Biali i Niebiescy*, pisze w roku 1857, inspirując się tekstami Charles’a Nodiera. Pod koniec życia mieszka u swego syna – też Aleksandra i także pisarza – koło Dieppe nad kanałem La Manche, tam też umiera. W 200-lecie urodzin zostaje przeniesiony z wielką pompą do paryskiego Panteonu.

# Aleksander Dumas ojciec



## TOWARZYSZE JEHU TOM 1

Druga część cyklu „Sainte Hermine”

Przełożył i przypisami opatrzył Krzysztof Jagusiak

**Pięćdziesiąta siódma publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty tom serii:  
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału francuskiego: *Les Compagnons de Jéhu*

© Copyright for the Polish translation by Krzysztof Jagusiak, 2019

62 ilustracje, w tym 10 kolorowych: Alphonse de Neuville i Frédéric Lix  
(zaczerpnięte z XIX-wiecznego wydań francuskich oraz dostępnych  
w Bibliotece Narodowej Francji i innych bibliotekach francuskich)  
Ilustracje na okładce i w tekście podkolorował Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Kinga Ochojska

Korekta: Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

**Wydanie I**

**© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019**

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-65753-74-8 (całość)

ISBN 978-83-65753-75-5 (tom pierwszy)

# Prolog

## *Miasto Awinion*

Nie jestem pewny, czy wprowadzenie, które prezentuję czytelnikowi, jest naprawdę konieczne, ale nie potrafię się oprzeć pragnieniu zamieszczenia go, jeśli nie w pierwszym rozdziale, to chociaż w prologu tej książki.

Z wiekiem i nabytym literackim doświadczeniem utwierdzam się w przekonaniu, że w naturze i w społeczeństwie nic nie jest oderwane i izolowane. Nie rządzi tam przypadek, lecz logiczny ciąg powiązań. Każde wydarzenie, każdy kwiat wesoły lub smutny, pachnący lub cuchnący, uśmiechnięty lub złowróźbny, który dziś zakwita przed naszymi oczami, był przedtem pączkiem i jego korzenie tkwią nieraz w dalekiej przeszłości, a kiedyś stanie się on owocem.

W młodości człowiek przyjmuje czas tak, jak leci, kochając dzień wczorajszy, nie dba o dzisiejszy i mało przeżywa jutrzejszy. Młodość jest wiosną z jej świeżością poranków i pięknem wieczorów, a jeśli czasem nadejdzie burza, to się rozpęta, zagrzmie i pójdzie sobie, pozostawiając niebo bardziej niebieskie, atmosferę bardziej odświeżoną i przyrodę radośniejszą niż przedtem.

Po cóż zastanawiać się nad przyczynami burzy, która przemija równie szybko, jak kaprys, przejściowej niczym urojenie? Nim przystąpimy do rozwiązywania tej meteorologicznej zagadki, po nawałnicy nie ma już ani śladu.

Natomiast zupełnie inaczej jest w przypadku załamań pogody, które pod koniec lata zagrażają naszym plonom, a w pełni jesieni niszczą winobranie. Zastanawiamy się wtedy, jaki kierunek obierają, niepokoimy, skąd przychodzą, szukamy sposobów, jak zapobiegać ich skutkom.

Tymczasem myśliciel, historyk, poeta, patrząc na rewolucje, owe zawieruchy w społecznej atmosferze, które ziemię zraszają krwią i zatracają całe pokolenia, znajduje w nich inny przedmiot zadumy niż w nawałnicach z nieba, topiących zbiory i niszczących winobrania, ale przecież tylko w jednym sezonie. W sumie te drugie powodują niewielkie straty, odzyskiwane z nawiązką w roku następnym, chyba że Pan Bóg gniewa się przez kilka lat.

Toteż dawniej, gdybym opowiadał historię, którą prezentuję wam dziś, nie zatrzymałbym się w miejscu, gdzie rozgrywa się pierwsza scena tej książki, lecz przedstawiłbym ją spokojnie, mijając Południe jak każdą inną prowincję i traktując Awinion jak każde inne miasto. A uczyniłbym tak bądź z powodu zapomnienia, bądź z bez troski, a może niewiedzy... Szczęśliwi niewiedzący! Nieszczęśliwi wiedzący!

Ale obecnie to już nie to samo, nie jestem na etapie wiosennych szkwałów<sup>1</sup>, lecz w wieku letnich burz i jesiennych nawałnic. Dziś, pisząc nazwę Awinion, wywołuję widmo i podobnie jak Antoniusz, który rozwinąwszy całun Cezara, powiedział: „Oto rana uczyniona sztyletem Kaski<sup>2</sup>, a tę zrobił miecz Kasjusza<sup>3</sup>, zaś tamtą – ostrze Brutusa”, ja, widząc krwawe ślady w papieskim mieście, piszę: „Oto krew albigensów<sup>4</sup>, a to krew kamizardów<sup>5</sup>, tutaj krew republikanów, a tam krew rojalistów, to jest krew Lescuyera, a ta zaś – to krew marszałka Brune’a<sup>6</sup>”.

Wówczas czuję, jak ogarnia mnie głęboki smutek i zasiadam do pisania. Lecz już po pierwszych zdaniach spostrzegam, że nieświadomie pióro powieściopisarza w mych palcach staje się instrumentem historyka.

No cóż, bądźmy jednym i drugim. Zechciej, czytelniku, darować tych pierwszych dziesięć lub piętnaście stron historykowi. Powieściopisarz zajmie się resztą.

Poświęćmy zatem kilka słów Awinionowi – miejscu, gdzie rozegra się pierwsza scena mojej nowej książki, która trafia w twoje ręce.

<sup>1</sup> *Szkwał* – nagły, gwałtowny, ale krótkotrwały wiatr, połączony na ogół z opadami.

<sup>2</sup> Publiusz Serwiliusz *Kaska* (84-42 p.n.e.) – rzymski senator, jeden z zabójców Cezara (zadał pierwszy cios), podczas bitwy pod Filipi pi popełnił samobójstwo.

<sup>3</sup> *Gajusz Kasjusz Longinus* (ok. 85-42 p.n.e.) – rzymski generał, republikanin, jeden z zabójców Cezara, podczas bitwy pod Filipi rozkazał własnemu niewolnikowi, by go przebił.

<sup>4</sup> *Albigensi* (inaczej *katarzy*) – religijno-społeczny ruch w średniowiecznej Francji; m.in. głosili ubóstwo i przeciwstawiali się hegemonii kleru; uznani za heretyków, byli prześladowani i tępieni przez inkwizycję.

<sup>5</sup> *Kamizardzi* – uczestnicy powstania w latach 1702-1709 zorganizowanego przez wyznawców kalwinizmu w południowej Francji przeciwko prześladowaniom przez królewskie katolickie wojska.

<sup>6</sup> *Guillaume Marie-Anne Brune* (1763-1815) – napoleoński marszałek, słaby dowódca, ale doskonały organizator, zamordowany przez motłoch w Awinionie.

Może zanim przejdziemy do ciągu dalszego, rzućmy okiem na to, co pisze o mieście jego oficjalny historyk, François Nouguiér<sup>7</sup>.

„Awinion – według niego – to miasto szlachetne ze względu na swą antyczność, korzystne ulokowane, o wspaniałych murach, radujące się żyznością pól, wdzięczne łagodnością swych mieszkańców, z cudownym pałacem, o pięknych szerokich ulicach, zachwycające strukturą mostów, bogate handlem i znane na całym świecie”.

Niech duch François Nouguiera nam wybaczy, ale nasz obraz tego miasta niezupełnie jest zgodny z jego wyobrażeniem. Ci, którzy Awinion znają, rozstrzygną, kto ma rację – historyk czy powieściopisarz.

Najpierw stwierdzić należy, że Awinion jest miastem specjalnym, miastem skrajnych namiętności. Epoka religijnych rozłamów, które przywiodły w jego mury antagonizmy polityczne, sięga dwunastego wieku. Góra Ventoux dała schronienie Piotrowi Waldo<sup>8</sup> i jego waldensom po ich ucieczce z Lyonu. Waldensi byli przodkami tych protestantów, którzy pod nazwą albigensów pozbawili hrabiego Tuluzy siedmiu zamków, jakie Rajmund VI<sup>9</sup> posiadał w Langwedocji, a odebranych mu z przez papieżstwo.

Będąc potężną republiką rządzoną przez podestów<sup>10</sup>, Awinion odmówił podporządkowania się królowi Francji. Ludwik VIII<sup>11</sup>, który stwierdził, że łatwiej jest wybrać się na wyprawę krzyżową do Awinionu, jak to zrobił Szymon de Montfort<sup>12</sup>, niż do Jerozolimy, jak uczynił to Filip August<sup>13</sup>, pewnego poranka stanął u bram miasta z kopią gotową do natarcia, w hełmie na głowie, z rozwiniętymi sztandarami i przy wtórze wojennych trąb zażądał, by go wpuszczono.

Mieszczanie odmówili. Jako najdalej posunięte ustępstwo zaproponowali królowi pokojowe wejście do miasta z odkrytą głową, podniesioną kopią i rozwiniętym tylko królewskim sztandarem. Wtedy monarcha rozpoczął trwające trzy miesiące oblężenie. Jak pisze kronikarz, Awinion odpowiadał francuskim żołnierzom strzałą na strzałę, raną za ranę, śmiercią za śmierć.

W końcu miasto się poddało. Armii Ludwika VIII towarzyszył papieski legat – kardynał Romain de Saint-Ange<sup>14</sup>. To on podyktował warunki kapitulacji, zaiste kapłańskie – twarde i niepodważalne.

Mieszkańcom Awinionu nakazano rozebrać mury obronne, zasypać fosy, zburzyć trzysta wież, oddać statki oraz spalić urządzenia obronne i maszyny wojenne. Ponadto mieli zapłacić olbrzymią kontrybucję, wyrzec się herezji waldensów, utrzymywać w Palestynie trzydziestu żołnierzy w pełni uzbrojonych i wyekwipowanych, by mogli wziąć udział w wyzwaniu grobu Chrystusa. I wreszcie, by czuwać nad wypełnieniem powyższych warunków zapisanych w bulli, przechowywanej do dziś w miejskich archiwach, powołano bractwo pokutne, które poprzez ponad sześć stuleci przetrwało do naszych czasów.

W przeciwieństwie do tych pokutników, zwanych białymi, powstał zakon pokutników czarnych, w pełni przesiąkniętych duchem sprzeciwu Rajmunda z Tuluzy.

Od tej chwili antagonizmy religijne stały się politycznymi, lecz Awinionowi nie wystarczyło pozostawać ziemią herezji. Miasto miało stać się teatrem schizmy.

Co się tyczy francuskiego Rzymu, pozwolę sobie na małą dygresję historyczną. W zasadzie nie jest ona wcale konieczna w prezentowanym temacie i może lepiej byłoby przejść od razu do ciągu dalszego. Mam jednak nadzieję, że czytelnik mi to wybaczy. Piszę przede wszystkim dla tych, którzy w powieści lubią czasem znaleźć także coś więcej niż tylko opowieść.

<sup>7</sup> François Nouguiér (1625-17?) – żyjący w Awinionie historyk, autor dzieła *Historia chronologiczna kościoła, biskupów i arcybiskupów w Awinionie*.

<sup>8</sup> Piotr Waldo (ok. 1140-ok. 1217) – francuski filantrop i kaznodzieja; twórca religijnego ruchu waldensów, uznanego za heretycki i prześladowanego przez kościół katolicki.

<sup>9</sup> Rajmund VI (1156-1222) – hrabia Tuluzy; oskarżony o sprzyjanie albigensom, stał się jednym z celów zorganizowanej przeciw nim w 1208 roku krucjaty; w 1215 roku został wyklęty przez papieża i pozbawiony dóbr.

<sup>10</sup> Podesta – ustanowiony w XII wieku przez cesarza najwyższy urząd miejski o uprawnieniach sądowych i wojskowych, praktykowany w niektórych republikach miejskich, głównie we Włoszech, a obsadzany przez obcych książąt lub rycerzy.

<sup>11</sup> Ludwik VIII Lew (1187-1226) – od 1223 roku król Francji (w 1216 roku proklamowany królem Anglii); by umocnić władzę królewską w Langwedocji, przyłączył się do krucjaty przeciwko hrabiemu Tuluzy Rajmundowi VII.

<sup>12</sup> Szymon de Montfort (1160-1218) – francuski rycerz i możnowładca; uczestnik IV wyprawy krzyżowej; dowodził krucjatą przeciw albigensom w roku 1209; w roku 1215 otrzymał tytuł hrabiego Tuluzy i dobra po Rajmundzie VI.

<sup>13</sup> Filip II August (1165-1223) – król Francji od 1179 roku, uczestnik III wyprawy krzyżowej (1191), wspierał też wyprawę przeciw katarom, od jego panowania zaczęto używać nazwy Francja (wcześniej – państwo Franków).

<sup>14</sup> Romain de Saint-Ange (XII w.-1243) – właściwie Romano Bonaventura; włoski kardynał, od 1216 roku wpływowy legat papieski we Francji.

W 1285 roku na tron Francji wstąpił Filip Piękny<sup>15</sup>. To bardzo ważny rok w historii powszechnej. Papiestwo, które w osobie Grzegorza VII<sup>16</sup> stawiało czoła cesarzowi Niemiec, a pokonane materialnie przez Henryka IV<sup>17</sup>, odniosło nad nim zwycięstwo moralne, zostało spoliczkowane przez zwykłego sabińskiego szlachcica. Żelazna rękawica Colonna<sup>18</sup> zaczerwieniła twarz Bonifacego VIII<sup>19</sup>.

A jak następca Bonifacego VIII potraktował króla Francji, który był rzeczywistym autorem policzka wymierzonego papieżowi?

Ów następca, pochodzący ze społecznych nizin Benedykt XI<sup>20</sup>, który być może wykazałby się geniuszem, gdyby mu dano na to czas. Zbyt słaby na frontalne starcie z Filipem Pięknym, znalazł on sposób, którego dwieście lat później pozazdrościł mu założyciel słynnego zakonu: otwarcie i publicznie przebaczył Colonnii.

Przebaczyć Colonnii oznaczało uznać go za winnego. Przebacza się tylko winowajcom. A jeśli Colonna był winny, to król Francji był co najmniej jego współnikiem. Za podobną logiką czało się pewne niebezpieczeństwo, toteż pontyfikat Benedykta XI trwał tylko osiem miesięcy.

Pewnego dnia, gdy papież zasiadł do stołu, zawołowana kobieta podająca się za siostrę z klasztoru Świętej Petroneli w Perugii przyniosła mu kosz z figami. Czy była tam ukryta żmija, tak jak u Kleopatry<sup>21</sup>? Nie wiadomo, ale faktem jest, że nazajutrz tron papieski opustoszał.

Wówczas Filipowi Pięknemu przyszedł do głowy niezwykle pomysł, tak niezwykle, że w pierwszej chwili musiał się wydać halucynacją. Król postanowił przenieść papiestwo z Rzymu do Francji, umieścić je pod strażą i kazać bić monetę dla własnej korzyści.

Panowanie Filipa Pięknego to dojskie złota do władzy. Okazało się ono jedynym bogiem tego króla, który spoliczkował papieża. U Ludwika Świętego<sup>22</sup> ministrem był duchowny, szacowny opat Suger<sup>23</sup> natomiast Filip Piękny ministrami uczynił dwóch bankierów, florentyńczyków Biscio i Musiato.

Jeśli oczekujesz teraz, drogi czytelniku, że przejdziemy w domenę filozoficznego wyklinania złota, to jesteś w błędzie. W XIII wieku złoto oznaczało postęp. Aż dotąd miarą wartości była ziemia. Złoto stało się spieniężoną ziemią, ziemią mobilną, wymieniałną, przemieszczalną, podzielną, wysubtelnioną, można powiedzieć – uduchowioną. Dopóki nie wymieniano ziemi na złoto, człowiek na podobieństwo boga Terminusa<sup>24</sup>, owego kamienia granicznego, miał stopy przymocowane do gruntu. Dotychczas ziemia nosiła człowieka, teraz on mógł nosić ziemię. Jednak złoto należało wydobyć z miejsc, w których przebywało, a było ono tam znacznie trudniej dostępne niż w kopalniach w Chile i Meksyku. Znajdowało się w rękach Żydów i w kościołach. By je wydobyć z tej podwójnej kopalni, potrzebny był ktoś ważniejszy od króla. Potrzebny był papież. Oto dlaczego Filip Piękny, wielki wydobywca złota, postanowił mieć u siebie papieża.

Po śmierci Benedykta XI zwołano konklawe do Perugii. Francuscy kardynałowie stanowili większość. Wybór Filipa Pięknego padł na arcybiskupa Bordeaux, Bertranda de Got<sup>25</sup>. Wyzaczył mu spotkanie w lesie koło Saint-Jean d'Angély. Bertrand de Got skrupulatnie pospieszył we wskazane miejsce. Król z arcybiskupem wysłuchali mszy, a podczas podniesienia poprzysięgli sobie na Boga, któremu oddawano cześć, bezwzględna tajemnicę.

Bertrand de Got nie wiedział jeszcze, o co dokładnie chodziło. Szczegóły poznał dopiero podczas mszy. – Arcybiskupie – zwrócił się doń Filip Piękny – jest w mojej mocy uczynić cię papieżem.

Bertrand de Got, gdy tylko to usłyszał, upadł do stóp króla.

<sup>15</sup> *Filip IV Piękny* (1268-1314) – król Francji od 1285 roku, przeniósł siedzibę papieża do Awinionu, zlikwidował rycerski zakon templariuszy.

<sup>16</sup> *Grzegorz VII* (1020-1085) – papież od 1073 roku; reformator kościoła katolickiego, w konflikcie papiestwa z cesarstwem upokorzył Henryka IV w 1077 roku w Cannosie.

<sup>17</sup> *Henryk IV* (1050-1106) – król Niemiec od 1056 roku, ukoronowany na cesarza w 1084 roku przez „antypapieża” Klemensa III.

<sup>18</sup> *Sciarra Colonna* (1270-1329) – senator rzymski; stronnik Filipa Pięknego z papieżem Bonifacym VIII, rzekomo spoliczkował papieża w 1303 roku w Anagni.

<sup>19</sup> *Bonifacy VIII* (1235-1303) – papież od 1294 roku; usiłując wzmocnić władzę kościoła, wszedł w ostry konflikt z Filipem Pięknym, a także z wpływową rzymską rodziną Colonnów.

<sup>20</sup> *Benedykt XI* (1240-1304) – papież od 1303 roku; dążył do załagodzenia sporów papiestwa z Filipem Pięknym i rodziną Colonnów.

<sup>21</sup> *Kleopatra* (69-30 p.n.e.) – od 51 roku p.n.e. królowa (ostatnia) hellenistycznego Egiptu; słynąca ze swej urody kochanka Juliusza Cezara i Marka Antoniusza; rzekomo popełniła samobójstwo (sprowokowała węża, by ją ukąsił).

<sup>22</sup> *Ludwik IX Święty* (1314-1370) – król Francji od 1226 roku, organizator i uczestnik VI i VII wyprawy krzyżowej.

<sup>23</sup> *Suger* (ok. 1081-1151) – benedyktyn, kronikarz, opat Saint-Denis, budowniczy tamtejszej bazyliki; doradca królów Ludwika VI i Ludwika VII; nie mógł być doradcą Ludwika Świętego.

<sup>24</sup> *Terminus* – w mitologii rzymskiej bóg granic i znaków granicznych; przedstawiany jako popiersie na kamieniu granicznym.

<sup>25</sup> *Bertrand de Got*, czyli Klemens V (ok. 1264-1314) – papież od 1305 roku, pierwszy z papieżów zasiadających od 1309 roku w Awinionie.



– Co trzeba w tym celu zrobić? – spytał.

– Wyświadczyć mi sześć łask, których zażądam – odparł Filip Piękny.

– Tobie przystoi rozkazywać, a mnie być posłusznym – oświadczył przyszły papież.  
Dokonała się poddańcza przysięga.

Król podniósł Bertranda de Got, ucałował go w usta i oznajmił:

– Domagam się od ciebie sześciu następujących łask:

Pierwsza – w pełni pogodzisz mnie z Kościołem i przebaczysz wszystkie złe uczynki, jakich dopuściłem się w stosunku do Bonifacego VIII.

Druga – dopuścisz mnie i moich ludzi do przyjmowania komunii, czego rzymska władza nas pozbawiła.

Trzecia – na pięć lat w moim królestwie przynasz mi dziesięcinę od duchowieństwa przeznaczoną na pokrycie kosztów wojny we Flandrii.

Czwarta – zniszczysz i wymażesz pamięć o Bonifacym VIII.

Piąta – nadasz godność kardynałów panom Jacopo i Pietro Colonnom<sup>26</sup>.

Szóstą łaskę i obietnicę zachowuję na później. Oznajmię ci ją w stosownej chwili i miejscu.

Bertrand de Got poprzysiągł spełnienie obietnic i łask – zarówno znanych, jak i nieznanych. Te ostatnie, których król nie śmiał wyrazić razem z pozostałymi, były żądaniem unicestwienia zakonu templariuszy. Poza obietnicą i przysięgą złożoną na *Corpus Domini*<sup>27</sup> Bertrand de Got oddał swego brata i dwóch bratanów jako zakładników.

Ze swej strony król poprzysiągł, że doprowadzi do wyboru arcybiskupa na papieża.

Scena ta, która rozegrała się na skrzyżowaniu dróg w ciemnym lesie, bardziej przypominała zawarcie paktu między czarnoksiężnikiem i demonem niż podejmowanie wzajemnych zobowiązań przez króla i papieża. Toteż koronacja monarchy, mająca miejsce jakiś czas potem w Lyonie, nie znalazła uznania w oczach

<sup>26</sup> Jacopo lub Giacomo (ok. 1250-1318) i Pietro (1260-1326) Colonnowie – włoscy kardynałowie, drugi był bratankiem pierwszego, z arystokratycznej rodziny Colonnów; stronnicy Filipa Pięknego, wyklęci przez papieża Bonifacego VIII.

<sup>27</sup> *Corpus Domini* (łac.) – Ciało Pana.

Boga. Na przechodzący orszak królewski runął mur obwieszony gapiami, raniąc króla i zabijając księcia Bretanii. Papieża przewrócono, a jego tiara potoczyła się do błota.

Bertrand de Got został wybrany papieżem i przyjął imię Klemensa V. Klemens V dokonał wszystkiego, co obiecał Bertrand de Got. Filip został uniewinniony, jemu i jego ludziom przywrócono prawo do komunii, kardynalska purpura okryła ramiona Colonnów, Kościół został zmuszony do opłacania wojny w Flandrii i wyprawy krzyżowej Filipa Walezjusza<sup>28</sup> przeciwko cesarstwu greckiemu. Ale pamięci o Bonifacym VIII nie dało się ani zniszczyć, ani wymazać, ale przynajmniej okryto go niesławą. Mury Temple zrównano z ziemią, a templariuszy spalono w pobliżu mostu Pont Neuf.

Powyższe decyzje wydano jako edykty. Od kiedy należało to do ziemskiej władzy, zarzucono nazwę „bulla”. Wszystkie edykty wychodziły z Awinionu.

Filip Piękny był najbogatszym królem monarchii francuskiej. Posiadał niewyczerpany skarb: był nim jego papież. Kupił go sobie i posługiwał się nim. Poddawał go wyciskaniu, jak to się czyni z owocami, i tak jak z owoców uzyskuje się cydr lub wino, z papieża płynęło złoto.

Papiestwo spoliczkowane przez Colonnę w osobie Bonifacego VIII, zrzekło się panowania nad światem za pontyfikatu Klemensa V.

Opowiedzieliśmy, w jaki sposób nastał krwawy król i złoty papież. Wiadomo też, jak odeszli. Jacques de Molay<sup>29</sup> z wysokości swego stosu wyznaczył im rok na stawienie się przed Bożym Majestatem.

## Η των γερων σιβυλλια

Arystofanes<sup>30</sup> oznajmia: „Umierający starcy mają ducha wróżki”.

Klemens V odszedł pierwszy. Ujrzał we śnie pożar swego pałacu.

„Od tej chwili – pisze Baluze<sup>31</sup> – posmutniał i wkrótce zmarł”.

Siedem miesięcy później przyszła kolej na Filipa. Niektórzy twierdzą, że zginął podczas polowania, zaatakowany przez dzika. Jest wśród nich Dante, który napisał: „Ten, którego widziano nad Sekwaną, jak fałszuje monety, zginie od kłów dzika”.

Natomiast Guillaume de Nangis<sup>32</sup> przypisuje królowi-fałszercy śmierć jeszcze bardziej naznaczoną ręką Opatrzności: „Wyniszczony przez nieznaną medyką chorobę, zmarł ku wielkiemu zdumieniu współczesnych. Jego tętno i mocz nie wyjaśniły ani przyczyny choroby, ani nadchodzącego zgonu”.

Tron po Filipie Pięknym przejął jego syn Ludwik X Kłótlivy<sup>33</sup>, zwany też królem nieład lub królem har-mider, a po Klemensie V papieżem został Jan XXII<sup>34</sup>.

Awinion stał się wówczas prawdziwym drugim Rzymem. Jan XXII i Klemens VI<sup>35</sup> koronowali miasto na królową luksusu, natomiast ówczesne obyczaje uczyniły z niego królową rozpusty i ospałości. W miejscu wień zburzonych przez Romaina de Saint-Ange wielki mistrz zakonu Świętego Jana z Jerozolimy – Fernandez de Heredia<sup>36</sup> – otoczył miasto pasem murów obronnych. Wśród mnichów zapanowała rozwiązłość. Z klasztorów uczynili sobie miejsca rozpusty i doczesnych uciech. Tamtejsze kurtyzany zrywały diamenty z tiary, by przyozdabiać nimi bransolety i naszyjniki. Awinion miał kontakt z Vaucluse, skąd docierały łagodne i melodyjne utwory Petrarki<sup>37</sup>.

Taka sytuacja trwała aż do wstąpienia na tron Karola V<sup>38</sup>, władcy mądrego i religijnego. Postanowił on skończyć z tym skandalem. Wysłał zatem do Awinionu marszałka Boucicaut<sup>39</sup>, by przepędził stamtąd

<sup>28</sup> Filip VI Walezjusz (1293-1350) – król Francji od 1328 roku; bratanek Filipa Pięknego; za jego panowania rozpoczęła się wojna stuletnia; zawsze marzył o zorganizowaniu wyprawy krzyżowej.

<sup>29</sup> Jacques de Molay (1243-1314) – ostatni wielki mistrz zakonu templariuszy, spalony na stosie po likwidacji zakonu.

<sup>30</sup> Arystofanes (ok. 446-385 p.n.e.) – najbardziej znany komediopisarz starożytnej Grecji.

<sup>31</sup> Etienne Baluze (1630-1718) – jezuita, historyk i prawnik, zajmował się głównie historią kościoła.

<sup>32</sup> Guillaume de Nangis (?-1300) – benedyktyński kronikarz; jego *Kronika łacińska* kontynuowana była przez innych; stąd prawdopodobnie wskazanie go jako autora przez A. Dumasa.

<sup>33</sup> Ludwik X Kłótlivy (1289-1316) – król Francji od 1314 roku, za jego panowania monarchia nieco podupadła.

<sup>34</sup> Jan XXII (1244-1334) – papież od 1316 roku, wybrany po ponad dwuletnim okresie sporów.

<sup>35</sup> Klemens VI (1291-1352) – papież od 1342 roku, czwarty z kolei w Awinionie.

<sup>36</sup> Juan Fernandez de Heredia (ok. 1310-1396) – w zakonie joannitów od 1328 roku, jako wielki mistrz od 1376 roku.

<sup>37</sup> Francesco Petrarca (1304-1374) – renesansowy poeta włoski, zasłynął zwłaszcza miłosnymi *Sonetami do Laury*.

<sup>38</sup> Karol V Mądry (1338-1380) – król Francji od 1364 roku; wzmocnił monarchię francuską; za jego panowania doszło do tzw. wielkiej schizmy w kościele katolickim (1378-1417), gdy jednocześnie było dwóch, a nawet trzech papieży.

<sup>39</sup> Boucicaut (1366-1421) – właściwie Jean Le Maingre; słynący z męstwa i rycerskich cnót marszałek Francji, uczestniczył w wyprawach Krzyżaków na Litwę, po klęsce pod Azincourt w 1415 roku zmarł w angielskiej niewoli.

antypapieża Benedykta XIII<sup>40</sup>. Lecz ów na widok królewskich żołnierzy przypomniał sobie, że nim został papieżem Benedyktem, był kapitanem Pedro de Luna. Bronił się pięć miesięcy, osobiście dyrygując z wysokości zamkowych murów wojennymi machinami, znacznie bardziej śmiertelnościami niż papieskie klątwy. W końcu zmuszony do ucieczki, wydostał się z miasta ukrytym przejściem, zostawiając za sobą sto zrujnowanych domów i cztery tysiące martwych mieszkańców. Schronił się w Hiszpanii, gdzie król Aragonii udzielił mu azylu. Tam co rano ze szczytu wieży, w asyście swych dwóch kapłanów, z których uczynił swe święte kolegium, błogosławił światu, któremu od tego wcale nie wiodło się lepiej, i wyklinał swych wrogów, którzy z tego powodu bynajmniej nie mieli się gorzej. Wreszcie przeczuwając zbliżającą się śmierć i z obawy, by schizma nie zakończyła się na nim, mianował swych dwóch wikariuszy kardynałami, nakazując im, by po jego zgonie jeden z nich wybrał drugiego papieżem. Tak też się stało. Nowy papież przez jakiś czas kontynuował rozłam, wspierany przez proklamującego go kardynała. W końcu obydwaj nawiązali kontakt z Rzymem, dokonali honorowego wyznania winy i powrócili na łono świętego Kościoła, jeden jako arcybiskup Sewilli, a drugi – Toledo.

Od tego czasu aż do 1790 roku Awinion, wdowa po papieżach, rządzony był przez papieskich legatów i wicelegatów. Przez siedem dziesiątków lat w mieście urzędowało siedmiu papieży, było tam też siedem szpitali, siedem bractw pokutnych, siedem klasztorów męskich i siedem żeńskich, a także siedem parafii i siedem cmentarzy. Ci, którzy znają Awinion, wiedzą, że w mieście tym istniały i nadal istnieją dwa miasta: miasto księży, czyli rzymskie, i miasto kupieckie, czyli francuskie.

Miasto księży posiada papieski pałac, setkę kościołów i niezliczoną ilość dzwonów zawsze gotowych sygnalizować pożar lub żałobnie ogłaszać mord.

Miasto kupieckie ma Rodan, robotników zakładów jedwabniczych i krzyżujące się drogi handlowe z północy na południe i z zachodu na wschód, z Lyonu do Marsylii i z Nîmes do Turynu.

Miasto francuskie to miasto przeklęte, tęskniące za królem, pragnące wolności, czujące odrazę do faktu bycia ziemią niewoli, ziemią należącą do księży i mającą za pana kler.



<sup>40</sup> Benedykt XIII (1342-1422) – drugi antypapież awinioński od 1394 roku; początkowo dążył do zakończenia schizmy; czteroletnie oblężenie Awinionu zakończyło się ugodą w 1403 roku; Benedykt XIII z Awinionu uciekł dopiero po powtórnym wypowiedzeniu mu posłuszeństwa przez Francję w 1408 roku za panowania Karola VI, a nie Karola V, jak podaje A. Dumas.

Nie chodzi tutaj jednak o kler pobożny, tolerancyjny, dobroczynny i przestrzegający swych obowiązków, żyjący wśród ludzi po to, by ich pocieszać i pouczać, ale bez ingerencji w ich radości i pasje. Chodzi o kler nacechowany intrygami, ambicjami i chciwością, czyli o dworskich opatów rywalizujących z opatami rzymskimi – leniwych, rozpustnych, eleganckich i bezczelnych królów mody i salonów, całujących ręce dam, których byli adoratorami i tym się szczylicili, a dających swą dłoń do ucałowania kobietom z ludu, którym czynili zaszczyt, biorąc je za kochanki.

Jako przykład takiego duchownego posłużyć może ksiądz Maury<sup>41</sup> – dumny jak książę, bezczelny jak lokaj, syn szewca, o arystokratycznych ambicjach syna wielkiego pana.

Zrozumiałym jest, że dwie kategorie ludzi, z których jedna reprezentowała herezję, a druga ortodoksję, jedna – stronnictwo francuskie, a druga – rzymskie, jedna – monarchię absolutną, a druga – postępową konstytucję, nie były czynnikami korzystnymi dla zachowania pokoju i bezpieczeństwa w papieskim mieście. Zrozumiałym jest, że z chwilą wybuchu rewolucji w Paryżu, gdzie rozpoczęła się ona zdobyciem Bastylii, obydwa stronnictwa ciągle rozgrzane wojnami religijnymi z czasów panowania Ludwika XIV nie pozostaną wobec siebie bezczynne.

Powiedzieliśmy: Awinion – miasto księży, dodajmy: miasto nienawiści. Nigdzie lepiej nie uczy się nienawidzić niż w klasztorach. Serce dziecka, które wszędzie indziej jest wolne od złych namiętności, w Awinionie od urodzenia wypełnia dziedziczna nienawiść, od ośmiuset lat przechodząca z ojca na syna, a z końcem nienawistnego życia piekielna spuścizna przejmowana jest przez potomstwo.

Toteż na pierwszy krzyk wolności, jaki wydała Francja, miasto francuskie podniosło głowę, pełne radości i nadziei. Nadeszła dlań wreszcie chwila, by pełnym głosem kwestionować akt pozbycia się miasta i całej prowincji wraz z pół milionem mieszkańców przez nieletnią królową dla odkupienia jej zbrodni<sup>42</sup>. Jakim prawem owi mieszkańcy zostali sprzedani *in aeternum*<sup>43</sup> najcięższemu i najbardziej wymagającemu z panów, czyli biskupowi Rzymu?

Francja miała się zjednoczyć na Polu Marsowym w braterskim uścisku Święta Federacji<sup>44</sup>. Czyż Awinion nie był również częścią tego kraju? Wybrano deputowanych. Ci udali się do legata i grzecznie poprosili go o opuszczenie miasta, dając mu na to dwadzieścia cztery godziny. W odpowiedzi papiści zabawili się nocą i powiesili na szubienicy manekina z trójkolorową kokardą.

Reguluje się Rodan, kanalizuje Durance, buduje groble, by powstrzymać nawałnice płynnych lawin, w które zamieniają się bystre potoki w okresie topnienia śniegu na stokach Mont Ventoux. Ale owego strasznego strumienia, żywego strumienia ludzkiego potoku, który toczył się stromymi ulicami Awinionu, nawet Pan Bóg nie próbował zatrzymać, gdy nabrął już rozpędu.

Na widok noszącego narodowe barwy manekina, kołyszącego się na końcu sznura, francuskie miasto powstało z okrzykiem wściekłości. Czterech papistów podejrzanych o dokonanie profanacji: dwóch markizów, jednego mieszczucha i jednego robotnika, wywleczono z domów i powieszono na miejscu kukły.

Działo się to jedenastego czerwca 1790 roku.

W imieniu miasta napisano do Zgromadzenia Narodowego podanie o przyłączenie Awinionu do Francji, razem z Rodanem, handlem, Południem i połową Prowansji. Ale Zgromadzenie Narodowe było akurat w okresie reakcyjnym, nie chciało sporów z Rzymem i układało się z królem. Sprawa została więc odroczone.

W takiej sytuacji zdarzenia w Awinionie zamieniły się w bunt i papież mógł zrobić z miastem to, co dwór zrobiłby z Paryżem po wzięciu Bastylii, gdyby Zgromadzenie odroczyło proklamację Praw Człowieka.

Papież zarządził zniesienie wszystkich przemian w hrabstwie Venaissin<sup>45</sup>, przywrócenie przywilejów szlachty i kleru oraz inkwizycji w całej jej mocy.

Rozwieszono papieskie dekrety.

Jeden jedyny człowiek w biały dzień przy wszystkich podszedł wprost do muru, na którym widniał dekret, po to, by zerwać dokument. Nazywał się Lescuyer. Nie był to bynajmniej człowiek młody, jego czynu

<sup>41</sup> Jean-Sifrein Maury (1746-1817) – pisarz, duchowny, kardynał, deputowany do Stanów Generalnych, bronił monarchii, w okresie Cesarstwa aktywnie popierał Napoleona, czym bardzo naraził się papieżstwu.

<sup>42</sup> Chodzi o Joannę I (1326-1382), hrabinę Prowansji i królową Neapolu od 1343 roku, która oskarżana o zabójstwo swego męża Andrzeja Andegawskiego i w obliczu zagrożenia ze strony jego brata – Ludwika Węgierskiego, dla uzyskania poparcia papieża Klemensa VI sprzedała mu Awinion w 1348 roku, odłączając go tym samym od Prowansji.

<sup>43</sup> *In aeternum* (łac.) – na zawsze, na wieki.

<sup>44</sup> Święto Federacji – wielkie rewolucyjne święto zorganizowane czternastego lipca 1790 roku, w pierwszą rocznicę zdobycia Bastylii; w Paryżu uroczystości odbywały się na Polach Marsowych.

<sup>45</sup> *Hrabstwo Venaissin* – historyczna kraina w Prowansji, która w latach 1274-1791 była enklawą Państwa Kościelnego we Francji.

nie mógł więc tłumaczyć poryw wieku. Był niemal starcem, Francuzem pochodzącym z Pikardii. Cechowały go zapalczywość i rozważa. Ów były notariusz od dawna mieszkał w Awinionie.

To, co uczynił, było zbrodnią, która wstrząsnęła rzymskim miastem, zbrodnią tak wielką, że Madonna zapłakała! No cóż, Awinion to już Italia. Za wszelką cenę potrzeba mu cudów, a jeśli Bóg ich nie czyni, zawsze znajdzie się ktoś, kto się tym zajmie. Oczywiście taki cud musi być związany z Madonną. Jest ona bowiem wszystkim dla Italii, tej krainy pełnej poezji. Dusza, serce, język Włochów, wszystko pozostaje nasycone tymi dwoma słowami: *La Madonna*.

Cud wydarzył się w kościele kordelierów. Tam też pospieszył tłum. Sprawa była bardzo poważna, skoro Madonna płakała. Do tego rozeszła się pogłoska, która doprowadziła emocje do wrzenia. Przez miasto wieszono olbrzymi, zamknięty kufer. Wzbudził on nieukrywaną ciekawość mieszkańców. Co też mógł zawierać?

Dwie godziny później nie był to już jeden kufer. W stronę Rodanu transportowano osiemnaście waliz.

Jeden z tragarzy wyjawiał, co zawierają. Okazało się, że to majątek banku pobożnego<sup>46</sup>, który stronnictwo francuskie zabierało z sobą, wynosząc się z Awinionu. Otóż wywóz oznaczał grabież biedoty.

Im uboższe miasto, tym bogatszy bank pobożny. Niewiele takich instytucji mogło się równać bogactwem z bankiem w Awinionie.

Taki czyn to już nie sprawa poglądów. To kradzież, ohydna kradzież. Biali i niebiescy pobiegli do kościoła kordelierów z krzykiem. Żądali wyjaśnień od władz miejskich.

Lescuyer był sekretarzem w merostwie.

Przedstawiono go tłumowi nie jako tego, który zrywa papieskie dekrety – znalazłby w tej kwestii wielu obrońców – ale jako tego, który zlecił strażnikowi banku pobożnego, by udzielił pozwolenia na zabranie majątku.

Wysłano czterech ludzi, żeby pochwycili i przyprowadzili Lescuyera do kościoła. Znalaziono go na ulicy, gdy spokojnie podążał na merostwo. Mężczyźni rzucili się na niego i z dzikimi wrzaskami zawlekli do świątyni.

Gdy się tam znalazł, zobaczywszy w patrzących na niego oczach skry, wyrażające mu zaciśnięte pięści i usłyszawszy krzyki żądające jego śmierci, Lescuyer pojął, że przywleczono go nie do domu Pana, lecz do jednego z tych kręgów piekieł, o których zapomniiał Dante.

Przypuszczał jedynie, że skierowana przeciw niemu nienawiść wiązała się z zerwaniem papieskiego dekretu. Wszedł na ambonę niczym na mównicę i głosem człowieka, który nie tylko nie ma sobie nic do zarzucenia, ale także gotów jest ponownie zrobić to samo, oznajmił:

– Bracia, uważam rewolucję za konieczność. Zatem postąpiłem stosownie do moich uprawnień...

Fanatycy zrozumieli, że jeśli Lescuyer się wytłumaczy, będzie ocalony. A przecież nie o to im chodziło. Rzucili się na mówcę, ścignęli go z ambony i pchnęli w środek rozszczekanej sfory. Ta zaciągnęła go przed ołtarz, skandując rodzaj przerażającego okrzyku, mającego w sobie coś z syku węża i ryku tygrysa – owo zabójcze „Zu! Zu! Zu!”, tak charakterystyczne dla awiniońskiej ludności. Lescuyer znał ten złowieszczy wrzask. Usiłował schronić się u stóp ołtarza. Nie znalazł tam schronienia, upadł. Jakiś robotnik, reperator materaców, uzbrojony w pałkę, uderzył go w głowę tak silnie, że drewno rozłamało się na dwa kawałki.

Wówczas tłum doskoczył do tego biednego ciała, ruchem typowym dla ludzi Południa, charakteryzującym się połączeniem dzikości i wesołości. Mężczyźni, śpiewając, tańczyli na brzuchu urzędnika, podczas gdy kobiety przy pomocy nożyczek rozciąły, lub raczej rozszarpały mu wargi, aby odpokutował za wypowiedziane przeciw papieżowi bluźnierstwa.

Ze środka tej strasznej grupy dobywał się krzyk, lub też bardziej rżenie:

– W imię Boga! W imię Matki Boskiej! W imię ludzkości! Zabijcie mnie od razu!

To błagalne charczenie zostało wysłuchane. Oprawcy zgodnie się odsunęli. Pozostawili oszpeconego i zakrwawionego nieszczęśnika, by napawał się własną agonią.

Trwała ona pięć godzin, podczas których biedne ciało dygotało na stopniach ołtarza pośród wybuchów śmiechu, obelg i kpin tłumu. Oto, jak zabija się w Awinionie.

Ale chwila, są przecież jeszcze inne sposoby.

Ktoś ze stronnictwa francuskiego wpadł na pomysł, by pójść do banku pobożnego zaczerpnąć informacji. Wszystko było tam w jak najlepszym porządku. Nie wyniesiono ani franka. Zatem skoro Lescuyer okazał się niewinny, to można powiedzieć, że zginął tak okrutną śmiercią jako patriota.

<sup>46</sup> *Bank pobożny* (fr. *mont-de-piété*, łac. *montes pietatis*) – powstała w XV wieku z inicjatywy franciszkanów instytucja udzielająca ubogim nieoprocentowanych pożyczek pod zastaw; kapitał kredytowy bazował na dobrowolnych ofiarach; banki pobożne rozpow szechnili zwłaszcza jezuita.

W tym czasie przebywał w Awinionie człowiek mający wpływ na ludność.

Ci wszyscy okrutni przywódcy z Południa zdobyli tak złą sławę, że wystarczyło wymienić nazwisko jednego z nich, by każdy – nawet zupełny analfabeta – wiedział, o kogo chodzi.

Tym człowiekiem był Jourdan<sup>47</sup>. Samochwała i kłamca, potrafił wmówić prostym ludziom, że to on obciął głowę gubernatorowi Bastylli. Nazywano go więc Jourdan Obcinacz Głowy.

Tak naprawdę zwał się Mathieu Jouve. Nie pochodził z Prowansji, lecz z Puy-en-Velay. Najpierw zajmował się poganianiem mułów na nierównych wzniesieniach otaczających jego rodzinne miasto. Następnie został żołnierzem, lecz niezającym wojny. Wojna uczyniłaby go może bardziej ludzkim. Potem w Paryżu pracował w karczmie. W Awinionie zaś handlował czerwonym barwnikiem do tkanin.

Zebrał trzystu ludzi, zdobył miejskie bramy, pozostawił w nich połowę swej kompanii, a z resztą, poprzędzony dwoma armatami, skierował się na kościół kordelierów.

Ustawił działa naprzeciw świątyni i na chybił trafił strzelił w jej kierunku.

Mordercy rozpierzchli się jak spłoszone ptactwo, zostawiając na stopniach kilku zabitych. Jourdan ze swymi ludźmi, przekroczywszy trupy, wszedł do świętego przybytku. Pozostał tam już tylko posąg Madonny i nieszczęsny Lescuyer. Jeszcze oddychał. Jourdan i jego ludzie postępowali ostrożnie, by nie dobić umierającego. Jego agonía była najlepszym sposobem do podżegania. Zabrali to, co pozostało z tej żywej istoty, w trzech czwartych już rżęzącego trupa, i nieśli krwawiące, wstrząsane konwulsjami ciało. Na ich widok wszyscy uciekali i zamykali za sobą drzwi i okna.

Po upływie godziny Jourdan dzięki pomocy swoich trzystu ludzi stał się panem całego miasta. Lescuyer wyzionął ducha. To nie miało jednak znaczenia. Jego agonía przestała już być potrzebna. Obcinacz Głowy korzystał z przerażenia, jakie wzbudził w tłumie, i kazał uwieźć około osiemdziesięciu osób – morderców lub domniemyanych morderców Lescuyera. Bodaj trzydziestu z nich pewnie nawet nie było w kościele. Ale jeśli nadarza się okazja sprzyjająca wyeliminowaniu wrogów, trzeba z niej skorzystać, bo taka trafia się raczej rzadko.

Tych osiemdziesiąt osób zostało stłoczonych w wieży Trouillas. W rzeczywistości jej historyczna nazwa to wieża Glacière. Dlaczego zatem zwie się ją inaczej? Określenie „Trouillas” jest plugawe i pasuje do plugawych czynności, jakich tam dokonywano. Wieża służyła bowiem za teatr inkwizycyjnych tortur. Dziś jeszcze na jej murach widzi się tłustą sadzę, unoszącą się z kiedyś płonących stosów, na których spalało się ludzkie ciała. Dziś jeszcze pokazuje się zwiedzającym pieczołowicie zachowywane narzędzia tortur: kocioł, piec, łoża, łańcuchy, lochy, a nawet stare kości. Niczego tam nie brakuje.

W tej właśnie wieży zbudowanej przez Klemensa V zamknięto osiemdziesięciu zatrzymanych. Owa grupa więźniów okazała się poważnym kłopotem. Kto miał ich sądzić? Jedynymi legalnymi sądami były sądy papieskie. Czy należało zabić tych nieszczęśników tak, jak oni zabili Lescuyera?

Jak już powiedzieliśmy, jedna trzecia z nich, a może i połowa nie tylko nie uczestniczyła w masakrze, ale nawet nie postawiła stopy w kościele. Zabicie ich jawiło się jednak jako jedyne rozwiązanie – można je było przecież wpisać na konto odwetu. Jednak by zabić osiemdziesiąt osób, musiano by zorganizować odpowiednią liczbę katów.

Jourdan urządził zaimprovizowany sąd w jednej z sal Pałacu Papieskiego. Był tam kancelista, który nazywał się Raphael. Był przewodniczący – Barbe-Savournin de la Roua, pół Włoch, pół Francuz przemawiający ludową gwarą. Było tam jeszcze trzech lub czterech zatrzaśniętych, piekarz, rzeźnik. Ich nazwisk nikt nie zachował.

To właśnie oni krzyczeli:

– Trzeba ich wszystkich zabić. Jeśli choć jeden przeżyje, pozostawimy świadka!

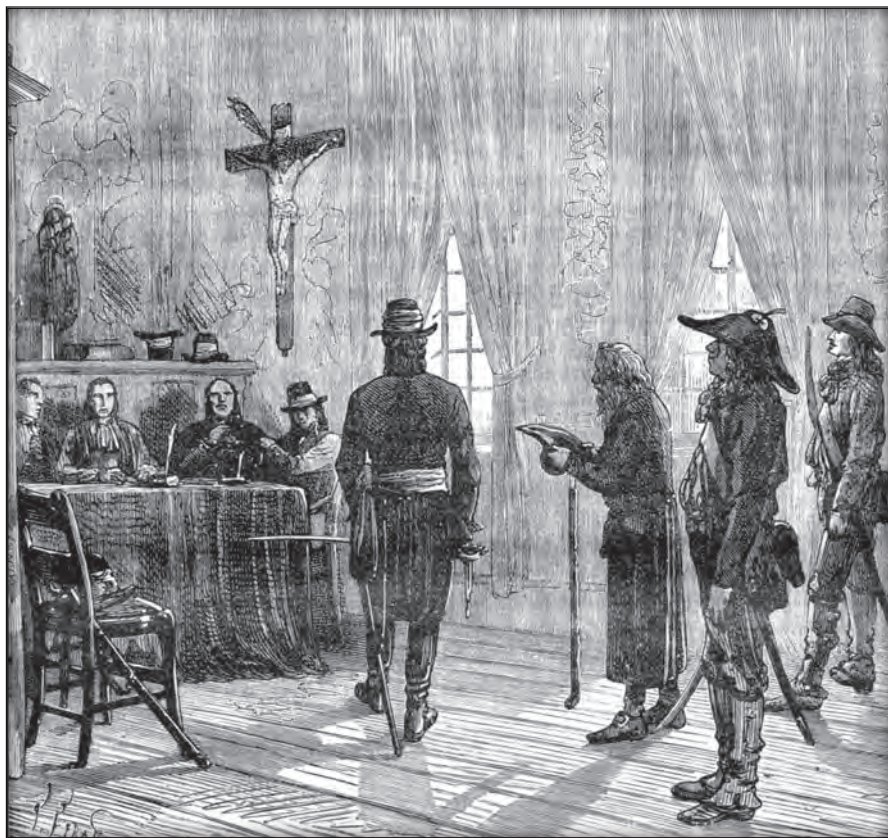
Lecz jak już powiedzieliśmy, wśród oskarżonych brakowało zabójców. Pod ręką pozostawało na dziedzińcu około dwudziestu osób należących do uboższych warstw ludności Awinionu: perukarz, szewcy, murarz, stolarz. Ich uzbrojenie stanowiła przypadkowa broń: jeden miał szablę, drugi – bagnet, jeszcze inny – żelazny pręt, lub nawet tylko utwardzony w ogniu kawałek drewna. Wszystkich nagle ostudził drobny, październikowy deszcz.

Trudno byłoby zrobić z tych ludzi morderców. Nic to! Czyż jest coś trudnego dla diabła? Podczas tego typu wydarzeń bywają momenty, kiedy wydaje się, że Opatrzność gdzieś sobie poszła. Wtedy przychodzi kolej na Szatana.

<sup>47</sup> Mathieu Jouve zwany Jourdan Obcinacz Głowy (1746-1794) – były przestępca, który stał się słynącym z okrucieństwa rewolucjonistą; zgilotynowany.

Na tym dziedzińcu, zimnym i zabłoconym, Szatan pojawił się osobiście.

Przybrał oblicze lokalnego aptekarza nazwiskiem Mendes. Rozstawił on oświetlony dwoma latarniami stół, a na nim umieścił szklanki, dzbanki, konwie i butelki.



Jaki piekielny napój znajdował się w tych tajemniczych naczyniach o dziwnych kształtach? Tego nikt nie wie, ale efekt spożycia trunku jest już dobrze znany. Ci wszyscy, którzy napili się diabelskiego likieru, nagle odczuli przypływ nieodpartej wściekłości, potrzebę zabijania i rozlewu krwi. W tym momencie wystarczyło pokazać im drzwi wieży, by zaraz rzucili się na więźniów. Masakra trwała całą noc. W ciemnościach dały się słyszeć krzyki, skargi i charczenie umierających.

Zabijano wszystkich, zarzynano wszystkich – mężczyzn i kobiety. Trwało to długo. Jak powiedzieliśmy, mordercy byli pijani i źle uzbrojeni, a jednak zadanie wykonali.

Wśród zabójców bestialskim okrucieństwem i nieumiarkowanym pragnieniem krwi wyróżniał się pewien dzieciak. Był nim syn Lescuyera. Zabijał bez opamiętania. Przechwalał się, że sam swymi dziecinnymi rękoma uśmiercił dziesięciu mężczyzn i cztery kobiety.

– Tak! Mogłem mordować do woli – mówił. – Nie mam jeszcze piętnastu lat, nic mi nie zrobią.

Nieżywych i rannych – zwłoki i umierających – wrzucano na dno wieży Trouillas<sup>48</sup>. Spadali z wysokości sześćdziesięciu stóp. Najpierw pozbywano się mężczyzn, dopiero później kobiet. Mordercy potrzebowali czasu, by zgwałcić ciała tych, które były ładne i młode.

O dziewiątej rano, po dwunastu godzinach od rozpoczęcia masakry, z głębi tego grobu rozlegał się jeszcze głos:

– Litości! Dobijcie mnie, nie mogę umrzeć.

Pewien człowiek, rusznikarz Bouffier, spojrzał na dno wieży. Inni się nie odważyli.

– Kto to krzyczy? – pytano go.

<sup>48</sup> W istocie mordowanych wrzucano na dno sąsiadującej z wieżą Trouillas wieży Latryn (*tour des Latrines*), służącej do sanitarnych celów w czasach papieża, zwanej również wieżą Chłodni – nazwa ta wzięła się od funkcji, jaką budowla pełniła w późniejszych czasach.

– To Lami – oznajmił Bouffier.

A gdy już wrócił do pozostałych, dopytywali:

– No i co tam zobaczyłeś w dole?

– Dziwną marmoladę – odparł. – Mieszankę mężczyzn i kobiet, księży i ładnych dziewczyn. Można skonać ze śmiechu.

„Zaprawdę, jakże szkaradną lizką jest człowiek...!” – mówił hrabia Monte Christo do pana de Villefort<sup>49</sup>.

W tym właśnie mieście, jeszcze zakrwawionym, jeszcze gorącym, jeszcze wstrząśniętym tymi okrutnymi zdarzeniami, poznamy dwóch głównych bohaterów mojej powieści.



---

<sup>49</sup> Pan de Villefort – jeden z głównych negatywnych bohaterów powieści *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa.

# Rozdział I

## Osiemnastowieczny bufet

Dziewiątego października 1799 roku przy pięknej, jesiennej, śródziemnomorskiej pogodzie, która pozwalała dojrzewać pomarańczom w Hyères i winogronom w Saint-Péray, czyli w dwóch skrajnych miejscach Prowansji, zaprzężona w trzy pocztowe konie kalesza<sup>50</sup> pędziła, aż dudniło, po moście na rzece Durance łączącym Cavaillon i Château-Renard. Powóz kierował się na Awinion, dawne papieskie miasto, które osiem lat wcześniej przyłączył do Francji dekret z dwudziestego piątego maja 1791 roku, co potwierdzone zostało podpisaniem w Tolentino w 1797 roku traktatem pomiędzy generałem Bonaparte i papieżem Piusem VI<sup>51</sup>.

Pojazd wjechał przez bramę Aix i nie zmniejszając prędkości, przemierzył całe miasto krętymi, wąskimi ulicami, chroniącymi zarówno od wiatru, jak i od słońca. Zatrzymał się pięćdziesiąt kroków od bramy Oulle, przed hotelem Palais-Egalité, który zwał się kiedyś hotelem Palais-Royal. Do tej właśnie nazwy stopniowo zaczęto powracać i taką nazwę nosi on do dziś.

Tych kilka niby nic nieznaczących słów odnośnie nazwy hotelu, przed którym zatrzymał się skupiający naszą uwagę pocztowy powóz, ilustruje dość dobrze stan, w jakim znalazła się Francja pod rządami reakcji termidoriańskiej reprezentowanej przez dyrektoriat.

Po rewolucyjnej walce, która toczyła się od czternastego lipca 1789 roku do dziewiątego thermidora 1794 roku<sup>52</sup>, po dniach piątego i szóstego października<sup>53</sup>, dwudziestego pierwszego czerwca<sup>54</sup>, dziesiątego sierpnia<sup>55</sup>, drugiego i trzeciego września<sup>56</sup>, dwudziestego pierwszego maja<sup>57</sup>, dwudziestego dziewiątego thermidora<sup>58</sup> i pierwszego prairiala<sup>59</sup>, po widoku spadających głów króla i jego sędziów, królowej i jej oskarżyciela, żyrondistów i kordelierów, umiarkowanych i jakobinów, Francja odczuła najohydniejszą i najbardziej mdłą znużenie, znużenie rozlewem krwi.

Nie zapragnęła jednak powrotu do monarchii, ale do silnego rządu, do którego mogłaby mieć zaufanie i na którym mogłaby się oprzeć, który działałby w jej imieniu, podczas gdy ona mogłaby wreszcie odpocząć.

Zamiast takiego nieprecyzyjnie określonego rządu Francja miała słaby i niezdecydowany dyrektoriat złożony w owym czasie z lubieżnego Barrasa<sup>60</sup>, intrygującego Sieyès<sup>61</sup>, dzielnego Moulina<sup>62</sup>, nieliczącego się Rogera Ducos<sup>63</sup> i uczciwego, ale zbyt naiwnego Gohiera<sup>64</sup>.

<sup>50</sup> Kalesza – elegancki czterokołowy, czteroosobowy powóz z siedzeniami naprzeciw siebie, zaprzężony w kilka koni.

<sup>51</sup> Pius VI (1717-1799) – papież od 1775 roku; poparł Konstytucję 3 Maja, a potem konfederację targowicką i rozbiory; w 1798 roku zdetronizowany przez Bonapartego, który później ustanowił Republikę Rzymską.

<sup>52</sup> Thermidor – daty są podawane w tej książce często według francuskiego kalendarza rewolucyjnego, w którym lata liczone były od dnia proklamowania republiki, czyli od dwudziestego drugiego września 1792 roku; rok dzielił się na dwanaście miesięcy o specyficznych nazwach; thermidor – od dziewiętnastego lipca do siedemnastego sierpnia. Dziewiąty thermidora – dwudziesty siódmy lipca 1794 roku – aresztowanie Robespierre’a i jego stronników; koniec Terroru; do władzy dochodzą umiarkowani politycy zwani thermidorianami.

<sup>53</sup> Piąty i szósty październik 1790 roku – marsz głodujących paryżan na Wersal, uwieńczony sprowadzeniem Ludwika XVI wraz z rodziną do pałacu Tuileries.

<sup>54</sup> Dwudziesty pierwszy czerwca 1791 roku – nieudana próba ucieczki rodziny królewskiej Ludwika XVI; rozpoznany i zatrzymany, został w miejscowości Varennes.

<sup>55</sup> Dziesiąty sierpnia 1792 roku – zdobycie szturmem pałacu Tuileries i de facto obalenie monarchii we Francji (król z rodziną zostali umieszczeni w więzieniu Temple).

<sup>56</sup> Drugi i trzeci września 1792 roku – kilkudniowa fala samosądów i masakry przedstawicieli szlachty i duchowieństwa, głównie w Paryżu, ale i w innych francuskich miastach; trwała do szóstego września.

<sup>57</sup> Dwudziesty pierwszy maja – ponieważ w tym dniu ani w 1793, ani w 1794 roku nie wydarzyło się nic istotnego w prezentowanej sekwencji, być może autorowi chodziło o trzydziesty pierwszy maja 1793 roku, gdy podburzeni przez jakobinów sankiuloci oblegali konwent, domagając się usunięcia i aresztowania żyrondistów, co nastąpiło drugiego czerwca.

<sup>58</sup> Dwudziesty dziewiąty thermidora – ponieważ w tym dniu nie wydarzyło się nic istotnego w prezentowanej sekwencji, być może autorowi chodziło o dziewiąty thermidora, wspomniany już powyżej.

<sup>59</sup> Prairial – miesiąc kalendarza rewolucyjnego, od dwudziestego maja do osiemnastego czerwca. Pierwszy prairiala (dwudziesty maja) 1795 roku – wywołane przez jakobinów ludowe powstanie; powstańcy z krzykiem „chleba i konstytucji roku I” wdarli się do Konwentu, prezentując przewodniczącemu zatknietą na pice głowę deputowanego Féraud; powstanie zostało stłumione przez generała Menou.

<sup>60</sup> Paul Barras (1755-1829) – polityk okresu rewolucji, deputowany do Konwentu, jeden z pięciu dyrektorów od 1795 do 1799 roku.

<sup>61</sup> Emanuel-Joseph Sieyès (1748-1836) – duchowny, jeden z głównych inicjatorów rewolucji francuskiej, jeden z pięciu dyrektorów w 1799 roku, jeden z konsulów obok Bonapartego.

<sup>62</sup> Jean-François Moulin (1752-1810) – generał republiki, jeden z pięciu dyrektorów w 1799 roku, baron cesarstwa.

<sup>63</sup> Roger Ducos (1747-1816) – polityk, deputowany do Konwentu, jeden z pięciu dyrektorów w 1799 roku, jeden z konsulów obok Bonapartego, hrabia cesarstwa.

<sup>64</sup> Louis Gohier (1746-1830) – polityk, jeden z pięciu dyrektorów w 1799 roku.

W rezultacie na zewnątrz Francja prezentowała się nader mizernie, a wewnątrz panował bardzo wątpliwy porządek.

Prawdą jest, że w opisywanym czasie republikańskie armie okryte chwałą kampanii 1796 i 1797 roku, chwilowo odepchnięte w kierunku Francji przez nieudolność Scherera<sup>65</sup> w Weronie i Cassano oraz z powodu porażki i śmierci Jouberta<sup>66</sup> pod Novi, znowu podjęły ofensywę. Moreau<sup>67</sup> pobił Suworowa<sup>68</sup> pod Bassignano. Brune zwyciężył księcia Yorku<sup>69</sup> i generała Hermanna<sup>70</sup> pod Bergen<sup>71</sup>. Masséna<sup>72</sup> unicestwił Austriaków i Rosjan pod Zurychem. Korsakow<sup>73</sup> ledwie uszedł, Austriak Hotz i trzech innych generałów zginęło, a pięciu dostało się do niewoli.

Pod Zurychem Masséna uratował Francję podobnie jak dziewięćdziesiąt lat wcześniej Villars<sup>74</sup> ocalił ją pod Denain<sup>75</sup>.

Natomiast sytuacja wewnątrz kraju wcale nie wyglądała dobrze, a rząd dyrektorów miał, trzeba to przyznać, poważne kłopoty z wojną w Wandei oraz z rozbojami na Południu, z którymi można było powiązywać awiniończyków.

Niewątpliwie dwaj podróżni wysiadający z pocztowego powozu naprzeciw drzwi hotelu Palais-Royal mieli jakieś powody, by obawiać się stanu ducha, w jakim znajdowała się ciągle niespokojna ludność papieskiego miasta, bo tuż za Orgonem, w miejscu, gdzie droga rozwidła się w trzech kierunkach – do Nîmes, do Carpentras i do Awinionu, pocztylion zatrzymał konie i odwróciwszy się, zapytał:

– Obywatele przejeżdżają przez Awinion czy przez Carpentras?

– Która droga jest krótsza? – rzeczowym i przenikliwym głosem spytał jeden z dwóch podróżnych. Wyglądał na co najwyżej trzydzieści lat i przypuszczalnie był starszy od swego towarzysza.

– Oczywiście droga przez Awinion, obywatelu, i to co najmniej o półtoiej ligi<sup>76</sup>.

– Zatem jedźmy przez Awinion – padła odpowiedź.

Pojazd ponownie ruszył galopem, co oznaczało, że podróżni obywatele, jak zwał ich pocztylion, mimo że określenie „pan” zaczęło już powracać do rozmów, płacili przewodnikowi co najmniej trzydzieści su<sup>77</sup>.

Ten sam pośpiech objawił się też po wejściu do hotelu.

Podobnie jak w powozie, głos zabrał starszy z podróżnych. Zapytał, czy można natychmiast zjeść obiad, a ton, w jakim pytanie to zostało sformułowane, wskazywał na to, że jest gotów darować sobie wyszukane gastronomiczne wymagania, byle tylko posiłek jak najszybciej znalazł się na stole.

– Obywatelu – odparł gospodarz, który na odgłos zajeżdżającego powozu wybiegł z serwetką w dłoni, by przywitać podróżnych – będziecie szybko i wygodnie obsłużeni w waszym pokoju. Ale jeśli mogę sobie pozwolić dać wam radę...

Zawahał się.

– Ależ proszę mówić! Proszę mówić! – zachęcił go młodszy z podróżnych, odzywając się po raz pierwszy.

– No cóż, proponuję wziąć obiad z bufetu, jak to przed chwilą uczynił podróżny, na którego już czeka gotowy do drogi pojazd. Dania są smaczne i już przygotowane.

<sup>65</sup> Barthélemy Schérer (1747-1804) – generał republiki służący wcześniej w armii austriackiej, następnie holenderskiej, w 1796 roku Napoleon przejął po nim dowództwo w armii Italii.

<sup>66</sup> Barthélemy Catherine Joubert (1769-1799) – generał republiki, zginął w bitwie pod Novi piętnastego sierpnia 1799 roku, pokonany przez wojska austriacko-rosyjskie Suworowa.

<sup>67</sup> Jean Victor Marie Moreau (1763-1813) – znaczący generał i wybitny strateg (najważniejsze zwycięstwo – Hohenlinden, 1800), przeciwnik i rywal Napoleona, zmarł jako doradca cara Aleksandra po zranieniu francuską kulą w bitwie pod Dreznem.

<sup>68</sup> Aleksander Suworow (1729-1800) – wybitny rosyjski dowódca, przyczynił się do rozbicia konfederacji barskiej i upadku powstania kościuszkowskiego, obciąża się go odpowiedzialnością za rzeź Pragi; podczas II koalicji antyfrancuskiej dowodził w 1799 roku siłami austriacko-rosyjskim w Italii.

<sup>69</sup> Fryderyk August Hanowerski książę Yorku (1763-1827) – brytyjski marszałek, w 1799 roku dowódca wojsk brytyjsko-rosyjskich, wielokrotnie pokonany przez generała Brune'a.

<sup>70</sup> Johann Hermann von Fersen (1740-1801) – rosyjski generał pochodzenia saskiego, w bitwie pod Bergen dostał się do niewoli.

<sup>71</sup> Bitwa pod Bergen (dziewiętnastego września 1799 roku) – zwycięstwo wojsk francusko-holenderskich, dowodzonych przez generała Brune'a, nad armią angielsko-rosyjską.

<sup>72</sup> André Masséna (1758-1817) – syn kupca, od 1793 roku generał republiki, zwycięstwem w bitwie z Rosjanami pod Zurychem w 1799 roku uchronił Francję przed inwazją II koalicji; późniejszy napoleoński marszałek, jeden z najzdolniejszych.

<sup>73</sup> Aleksander Rymski-Korsakow (1753-1840) – rosyjski generał, dowodził rosyjskim korpusem w Szwajcarii w 1799 roku, pobity pod Zurychem.

<sup>74</sup> Claude de Villars (1653-1734) – marszałek Francji, jeden z najlepszych dowódców Ludwika XIV.

<sup>75</sup> Bitwa pod Denain (dwudziestego czwartego lipca 1712 roku) – decydujące zwycięstwo marszałka de Villars nad wojskami austriacko-holenderskimi księcia Eugeniusza Sabaudzkiego w wojnie o sukcesję hiszpańską.

<sup>76</sup> Liga (fr. *lieue*) – jednostka długości rozmaicie definiowana w różnych okresach i krajach; w dziewiętnastowiecznej Francji powszechnie stosowano ligę kilometrową (4 km) i ligę lądową (4,44 km), jednej z nich (bądź obydwu) zapewne używał autor.

<sup>77</sup> Su – ówczesna drobna moneta równa 1/20 franka (5 centymów).

Mówiąc to, gospodarz jednocześnie wskazał na nadzwyczaj wygodnie urządzone powóz zaprzężony w dwa konie, których kopyta stukały o bruk, podczas gdy pocztylion czekał cierpliwie przy oknie, opróżniając butelkę wina z Cahors.

W pierwszym odruchu ten, do którego propozycja została skierowana, chciał odmówić, lecz po sekundzie zastanowienia starszy z nich, jakby wyciszając nieco swe początkowe zdeterminowanie, spojrzał pytająco na towarzysza.

Wzrok młodszego wyrażał odpowiedź: „Wiesz przecież, że jestem na twoje rozkazy”.

– W porządku, niech będzie – oznajmił ten, który najwidoczniej decydował. – Zjemy obiad z bufetu.

A zwracając się do pocztyliona, z kapeluszem w dłoniach oczekującego rozkazów, rzekł:

– Niech najpóźniej za pół godziny konie będą zaprzęgnięte do powozu.

Kierując się według wskazówek gospodarza, dwaj podróżni weszli w końcu do sali jadalnej. Starszy z nich podążał przodem.

Wiadomo, jakie wrażenie wywołują zazwyczaj nowoprzybyli. Tak też stało się i tym razem. Wszystkie spojrzenia skierowały się na wchodzących. Rozmowa, która sprawiała wrażenie ożywionej, natychmiast się urwała.

Współbiednicy byli ludźmi przywykłymi do życia w zajazdach: podróżnik, na którego czekał zaprzężony powóz, handlarz win z Bordeaux chwilowo przebywający w Awinionie z powodów, o których opowiemy, oraz z kilku podróżnych udających się dylizansem z Marsylii do Lyonu.

Nowoprzybyli pozdrowili zebrane towarzystwo lekkim skinieniem głowy i ulokowali się na samym krańcu długiego stołu, w odstępie trzech lub czterech wolnych nakryć od pozostałych.

To, rzec by można, arystokratyczne dystansowanie się podwoiło ciekawość obecnych. Wyczuwali, że niewątpliwie mają do czynienia z osobami wysokiej rangi, choć przyodzianymi z największą prostotą.

Obydwaj nosili buty z cholewami wywiniętymi na krótkich spodniach, surdut z długimi połami, podróżne okrycie i kapelusz z szerokim rondem. Tak w owej epoce ubierała się większość młodych ludzi. Natomiast od elegantów z Paryża, a nawet z prowincji odróżniały ich długie i proste włosy oraz czarne krawaty ciasno zawiązane w sposób wojskowy.

Modnisie – bo taką nazwę nadano młodym ludziom podążającym za modą – nosili włosy w kształcie psich uszu wydętych na skroniach lub związane w pęk z tyłu głowy, a także olbrzymi krawat o długich, zwisających końcach, w którym zanurzała się broda. Zdarzało się, że w reakcyjnym stylu posuwali się nawet do używania pudru.

Ci dwaj młodzieńcy reprezentowali dwa kompletnie przeciwne typy.

Starszy z nich, który zwykle przejmował inicjatywę, jak to już zauważyliśmy, i którego głos nawet podczas najbardziej zażyłej rozmowy oznaczał się przyzwyczajeniem do rozkazywania, miał, jak wspomnieliśmy, około trzydziestu lat. Jego czarne włosy, rozczesane z przedziałkiem na czole, opadały wzdłuż policzków aż na ramiona. Miał śniadą cerę człowieka podróżującego po krajach śródziemnomorskich, cienkie wargi, prosty nos, białe zęby i oczy sokoła, jakimi Dante obdarzył Cezara.

Był wzrostu raczej niskiego niż średniego. Miał delikatne dłonie, a stopy małe i eleganckie. W jego zachowaniu dawało się zauważyć pewne skrępowanie, wskazujące na to, że chwilowo nosił ubranie, do którego zupełnie nie był przyzwyczajony. Gdyby wdał się w konwersację na brzegu Loary, a nie Rodanu, jego rozmówca na pewno dostrzegłby w akcencie pewne naleciałości włoskie.

Jego towarzysz wyglądał na młodszego o dwa lub trzy lata.

Był to przystojny, młody człowiek o zaróżowionej cerze, włosach blond, prostym, solidnym nosie i silnie zarysowanym, ale niemal pozbawionym zarostu podbródka. Mierzył około dwóch cali więcej niż jego towarzysz. Będąc wzrostu powyżej średniego, był bardzo proporcjonalnie zbudowany, a jego ruchy cechowała ujmująca swoboda. Można przypuszczać, że jeśli nawet nie posiadał nadzwyczajnej siły, to z pewnością wyróżniała go niezwykła zręczność.

Choć podobnie ubrany i traktujący towarzysza jak równego sobie, sprawiał wrażenie, jakby darzył go nadzwyczajnym szacunkiem. Nie mogło to wynikać z różnicy wieku, zatem niewątpliwie z powodów społecznego zaszeregowania. Zresztą tytułował swego kompana obywatelem, podczas gdy tamten zwał go po prostu Rolandem.

Siedzący przy stole goście zapewne nie dokonali w całej rozciągłości tych wszystkich spostrzeżeń, które zaprezentowaliśmy, by lepiej wprowadzić czytelnika w tok naszej opowieści, bo po kilku sekundach uwagi

poświęconej nowoprzybyłym odwrócili od nich wzrok i na chwilę przerwana rozmowa znów powróciła na swoje tory.

Przyznać trzeba, że dotyczyła tematu w najwyższym stopniu interesującego podróżujących. Chodziło o napad na dyliżans transportujący sumę sześćdziesięciu tysięcy franków rządowych pieniędzy. Zdarzenie miało miejsce w dniu poprzednim na drodze wiodącej z Marsylii do Awinionu, pomiędzy Lambesc i Pont-Royal.

Już po pierwszych słowach dotyczących tej sprawy dwaj młodzieńcy nadstawili uszu z nieukrywanym zainteresowaniem.

Do napadu doszło na trasie, którą właśnie przyjechali, a mężczyzna opowiadający zdarzenie, bezpośrednio uczestniczył w owym drogowym dramacie.

Był nim handlarz win z Bordeaux.

Szczegóły wydarzenia najbardziej interesowały podróżnych, którzy dopiero co przybyli dyliżansem i wkrótce mieli odjechać. Pozostali, już tutaj zdomowieni biesiadnicy, sprawiali wrażenie obeznanych z tego typu katastrofami i sami dorzucali różne szczegóły zamiast ich wysłuchiwać.

– Zatem twierdzisz, obywatelu – mówił gruby pan, do którego tuliła się przerażona wysoka i chuda kobieta – że rozbój miał miejsce na tej samej drodze, którą my przybyliśmy?

– Tak, obywatelu, między Lambesc i Pont-Royal. Czy pamiętasz miejsce, gdzie droga wspina się i biegnie między dwoma wzgórzami? Jest tam pełno skał.

– Tak, tak, drogi przyjacielu – odezwała się kobieta, ściskając ramię swego męża – ja je zauważyłam. Powiedziałam nawet: „To bardzo nieprzyjemne miejsce. Wolę tędy przejeżdżać za dnia niż nocą”.

– Ależ, droga pani – głos zabrał młodzieniec, który grasejował<sup>78</sup> zgodnie z modą epoki i który przy innych okazjach, rozmawiając w trakcie posiłku, zapewne reprezentował monarchię – zapewniam, że dla panów *towarzyszy Jehu*<sup>79</sup> nie ma różnicy pomiędzy dniem i nocą.

– Co mówisz, obywatelu! – krzyknęła dama, jeszcze bardziej przerażona. – Czyżby napadu dokonano za dnia?

– Za dnia, obywatelko, o godzinie dziesiątej rano.

– A ilu ich było? – spytał gruby pan.

– Czterech, obywatelu.

– Ukryci przy drodze?

– Nie, nadjechali konno, dobrze uzbrojeni i zamaskowani.

– Taki już ich zwyczaj – objaśnił młody bywalec bufetowych obiadów. – Założę się, że oznajmili: „Proszę nie stawiać oporu. Włos wam z głowy nie spadnie. Chcemy tylko rządowych pieniędzy”.

– Dokładnie tak, obywatelu.

– Następnie – kontynuował ten, który zdawał się być doskonale poinformowany – dwóch zeskoczyło z koni, rzucili wodze swym towarzyszom i zmusili przewoźnika do wydania im pieniędzy.

– Obywatelu – gruby mężczyzna był zachwycony – opowiadasz zdarzenie, jakbyś je widział na własne oczy.

– Pan tam być może był – spostrzegł jeden z podróżnych na wpół żartobliwie, na wpół podejrzliwie.

– Nie wiem, obywatelu, czy mówiąc to, miałeś zamiar mnie obrazić – beztrząsco zareagował młody człowiek, który tak uprzejmie i tak trafnie sekundował opowiadającemu – ale moje poglądy polityczne sprawiają, że twych podejrzeń nie uważam za zniewagę. Gdybym miał pecha znaleźć się pośród tych, których napadnięto, lub zaszczyt bycia pomiędzy napadającymi, otwarcie przyznałbym się zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku. Lecz wczoraj o godzinie dziesiątej rano, czyli dokładnie w chwili napadu na dyliżans cztery ligi stąd, jadłem śniadanie tutaj, dokładnie w tym samym miejscu. Na dodatek, proszę, z tymi dwoma obywatelami, którzy obecnie siedzą na prawo i na lewo ode mnie.

– A ilu was było w dyliżansie? – spytał młodszy z dwóch podróżnych, którzy jako ostatni zasiedli do stołu.

– Chwileczkę, było nas chyba... tak, z pewnością, było nas siedmiu i trzy kobiety.

– Siedmiu mężczyzn, nie licząc woźnicy?! – zdumiał się Roland.

– Dokładnie.

<sup>78</sup> *Grasejować* – należy wymawiać spółgłoskę „r” z wibracją języczką; w tamtych czasach w modzie u arystokratycznej młodzieży.

<sup>79</sup> Tytuł niniejszej powieści *Les Compagnons de Jehu* spotyka się w tłumaczeniu polskim jako *Towarzysze Jehudy*, tymczasem biblijna postać, o którą chodzi, w polskich przekładach Biblii występuje jako Jehu – syn Jozafata, król Izraela.

- I siedmiu mężczyzn pozwoliło się ograbić czterem bandytom? Wyrazy mego uznania, panowie.
- Wiedzieliśmy, z kim mamy do czynienia – wyjaśniał handlarz winem – więc nie zamierzaliśmy się bronić.
- Jak to?! – zdziwił się młody człowiek. – Wiedzieliście, z kim macie do czynienia? Ależ mam wrażenie, że to byli złodzieje, że to byli bandyci!
- Nic podobnego, przedstawili się!
- Przedstawili się?
- Oznajmili: „Panowie, obrona jest bezcelowa. Szanowne panie, proszę się nie obawiać. Nie jesteśmy rozbójnikami. Jesteśmy *towarzyszami Jehu*”.
- Tak – dodał młody bywalec bufetu – oni uprzedzają, żeby uniknąć nieporozumień. To taki ich zwyczaj.
- A niech to! – zachnął się Roland. – A któż to taki ów Jehu, co ma tak uprzejmych towarzyszy? To ich szef?
- Szanowny panie – do rozmowy włączył się człowiek, którego ubranie wskazywało na świeckiego księdza, a który sprawiał wrażenie nie tylko bywalca hotelowego bufetu, ale też osoby wprowadzonej w sekrety zaszczytnej korporacji, jakiej zasługi omawiano – gdybyś był bardziej zaznajomiony z Pismem Świętym, niż sprawiasz wrażenie, wiedziałbyś, że Jehu zmarł jakieś dwa tysiące sześćset lat temu. W rezultacie nie może on napadać dyliżansów na drogach w naszych czasach.
- Szanowny księże – odparł Roland, rozpoznając człowieka Kościoła – ponieważ pomimo cierpkiego tonu wydajesz się człowiekiem bardzo wykształconym, pozwól biednemu nieukowi, by cię zapytał o nieco szczegółów dotyczących owego Jehu zmarłego dwa tysiące sześćset lat temu, a który pomimo tego nadal ma zaszczyt posiadać towarzyszy noszących jego imię.
- Jehu – ksiądz podjął temat tym samym kwaśnym tonem – był królem Izraela namaszczonego przez Elizeusza<sup>80</sup> pod warunkiem, że ukarze zbrodnie domu Achaba i Izebel<sup>81</sup> oraz uśmierci wszystkich kapłanów Baala<sup>82</sup>.
- Szanowny księże – roześmiał się młody człowiek – dziękuję za wyjaśnienie. Nie wątpię, że jest dokładne i przede wszystkim bardzo naukowe, ale przyznaję, że właściwie niewiele się z niego dowiedziałem.
- Jak to, obywatelu? – zdziwił się bywalec bufetowych obiadów. – Nie rozumiesz, że Jehu to Jego Królew-ska Mość Ludwik XVIII, namaszczonego pod warunkiem ukarania zbrodni rewolucji i uśmiercenia kapłanów Baala, czyli tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do zaistnienia tej szkaradnej rzeczy zwanej republiką?
- Ależ tak! – potwierdził młody człowiek. – Zrozumiałem. A czy do tych, z którymi towarzysze Jehu podjęli walkę, zaliczasz również dzielnych żołnierzy, którzy obce wojska wypchnęli poza granice Francji, i znamienitych generałów dowodzących armiami Tyrolu, Sambry i Mozy oraz Italii?
- Oczywiście, ich przede wszystkim, i zwłaszcza ich.
- Oczy młodzieńca cisnęły błyskawice, nozdrza się rozszerzyły, a usta zacisnęły. Podniósł się z krzesła, ale towarzysz pociągnął go za połę surduta i posadził z powrotem, jednym spojrzeniem nakazując milczenie.
- Po okazaniu takiego dowodu swej władzy milczący dotychczas przybysz zabrał głos po raz pierwszy.
- Obywatelu – zwrócił się do młodego uczestnika obiadu – wybacz dwóm podróżnym, którzy przyby-wają z krańca świata, powiedzmy z Ameryki lub Indii, a opuścili Francję dwa lata temu i nie widzą nic o tym, co tutaj się działo, w związku z czym pragnęliby się dowiedzieć.
- Ależ oczywiście – odparł zaindagowany – to całkiem naturalne. Proszę pytać, udzielimy wyjaśnień.
- Zatem – kontynuował młody człowiek o oku orła, prostych, czarnych włosach i granitowej cerze – te-raz, gdy wiem już, kim jest Jehu i w jakim celu powstało jego towarzystwo, chciałbym się dowiedzieć, co owi towarzysze robią z zabieranymi pieniędzmi.
- Och! Mój Boże, to bardzo proste, obywatelu. Wiesz, jak bardzo ważną sprawą jest przywrócenie mo-narchii Burbonów?
- Nie, nic mi o tym nie wiadomo – odparł młody brunet głosem, któremu na próżno starał się nadać naiwne brzmienie. – Jak już mówiłem, przybywam z krańca świata.
- Jak to! Nie wiedziałeś o tym? No to zobaczysz. Za sześć miesięcy będzie to faktem dokonanym.
- Naprawdę?

<sup>80</sup> Elizeusz (IX p.n.e.) – biblijny prorok, uczeń Eliasza, wsławił się wieloma cudami.

<sup>81</sup> Achab (ok. 873-854 p.n.e.) – król Izraela, jest w Biblii symbolem niegodziwości, wprowadził kult Baala za namową żony; Izebel – żona Achaba, zwalczała proroków, zginęła wyrzucona z okna pałacu, a psy pożarły jej ciało.

<sup>82</sup> Baal – semickie bóstwo, występuje w Biblii jako obiekt bałwochwalstwa.

– Tak, jak mam zaszczyt cię o tym informować, obywatelu.

Dwaj młodzi ludzie o wojskowym usposobieniu wymienili spojrzenia i uśmiechnęli się, podczas gdy młody blondyn zdawał się hamować swoje ożywione zniecierpliwienie.

Ich rozmówca kontynuował:

– Lyon jest kwaterą główną konspiracji, jeśli w ogóle można nazwać konspiracją spisek organizowany w biały dzień. Nazwa „rząd tymczasowy” pasowałaby lepiej.

– Niech będzie, obywatelu – zgodził się młody brunet z uprzejmością, która bynajmniej nie była pobawiona drwiny – powiedzmy, rząd tymczasowy.

– Ów rząd tymczasowy posiada swój sztab i swoje armie.

– Ba! Sztab, być może... ale swoje armie...

– Swoje armie, zapewniam.

– A gdzież one się znajdują?

– Jedna organizuje się w górach Owernii pod rozkazami pana de Chardon, druga w górach Jury pod rozkazami pana Teyssonnota, i wreszcie trzecia, operująca już i nawet całkiem skutecznie funkcjonująca w tej chwili w Wandei pod rozkazami d’Escarboville’a, d’Achille’a Leblonda i Cadoudala<sup>83</sup>.

– Na honor, obywatelu, oddałeś mi nieocenioną przysługę, dostarczając tych wszystkich nowin. A ja sądziłem, że Burbonowie całkowicie pogodzili się z wygnaniem. Sądziłem też, że policja nie dopuszcza istnienia ani tymczasowych komitetów rojalistów w wielkich miastach, ani bandytów na drogach. Sądziłem wreszcie, że Wandeja została kompletnie spacyfikowana przez Hoche’a<sup>84</sup>.

Młody człowiek, do którego skierowane były te słowa, wybuchnął śmiechem.

– Skąd ty przybywasz? – zawołał. – Gdzieś ty przebywał?

– Przecież mówiłem, obywatelu, na krańcu świata.

– To się daje zauważyć.

Powrócił do wyjaśnień:

– No więc rozumiesz, Burbonowie nie są bogaci. Emigranci, których dobra sprzedano, są zrujnowani. Nie da się bez pieniędzy organizować dwóch armii i utrzymywać trzeciej. Powstał problem. Jedynie republika była w stanie opłacać swoich nieprzyjaciół, a mało prawdopodobne, że zechce to czynić za obopólną zgodą. Zatem nawet nie próbując tych drażliwych negocjacji, uznano, że prościej będzie zabierać jej pieniądze, niż ich się domagać.

– No, wreszcie zrozumiałem.

– Bardzo się cieszę.

– Towarzysze Jehu są pośrednikami między republiką i kontrrewolucją, poborcami podatków rojalistycznych generałów. Tak, to nie jest żadna kradzież. To po prostu operacja wojskowa, militarna akcja, tak jak wiele innych.

– Dokładnie to, obywatelu, wreszcie pojąłeś. Teraz wiesz już wszystko, podobnie jak my.

– Ale – nieśmiało wtrącił handlarz winem z Bordeaux – jeśli panowie towarzysze Jehu, o których nie chcę powiedzieć niczego złego, jeśli panowie towarzysze Jehu zabierają tylko rządowe pieniądze...

– Wyłącznie rządowe pieniądze, żadnych innych. Nie zdarzyło się nigdy, żeby ograbili prywatną osobę.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Zatem jak to się stało, że wczoraj razem z pieniędzmi rządowymi zabrali również dwieście ludiorów<sup>85</sup> należących do mnie?

– Szanowny panie – głos młodego biesiadnika stał się uroczyście – już wcześniej mówiłem, że doszło do pomyłki. Tak, jak nazywam się Alfred de Barjols, zapewniam, że te pieniądze wcześniej lub później zostaną panu zwrócone.

Handlarz winem głęboko westchnął i potrząsnął głową niczym człowiek, który pomimo solennych zapewnień, zachował jeszcze pewne wątpliwości.

W tej samej chwili, tak jakby zobowiązanie młodego szlachcica, który zdradziwszy nazwisko, wyjawiał swoją przynależność klasową, zbudziło wrażliwość tych, za których ręczył, przed wejściem do hotelu rozległ

<sup>83</sup> Georges Cadoudal (1771-1804) – słynny przywódca powstań w Bretanii przeciwko republice i konsulatowi, dowódca Armii Katolickiej i Królewskiej Bretanii; schwytany podczas przygotowań do zamachu na Napoleona, został skazany na śmierć i zgilotynowany.

<sup>84</sup> Lazare Hoche (1768-1797) – wybitny generał republiki; pacyfikator Wandei, m.in. zlikwidował desant rojalistów na półwyspie Quiberon w 1795 roku; zmarł na gruźlicę.

<sup>85</sup> Luidor (fr. *louis d’or* – dosłownie „złoty ludior”) – złota moneta z podobizną króla (Ludwika), bita od 1640 do 1791 roku.

się hałas zatrzymanego konia, a z korytarza dobiegł odgłos kroków. Drzwi sali jadalnej otworzyły się i na progu stanął zamaskowany, uzbrojony mężczyzna.

– Panowie – odezwał się w ciszy, która zapanowała po jego wejściu – czy jest wśród was podróżny Jean Picot? Znajdował się on wczoraj w dyliżansie napadniętym między Lambesc i Pont-Royal.

– Tak – przyznał się zaskoczony handlarz winem.

– To pan? – upewnił się człowiek w masce.

– Tak, to ja.

– Czy czegoś panu nie zabrano?

– W istocie, zabrano moje dwieście luidorów, które powierzyłem przewoźnikowi.

– Pozwolę sobie dodać – wtrącił się młody szlachcic – że przed chwilą ten pan opowiadał o tym i uważał pieniądze za stracone.

– Ten pan nie miał racji – oznajmił zamaskowany nieznajomy. – Prowadzimy wojnę z rządem, a nie z prywatnymi ludźmi. Jesteśmy żołnierzami, nie złodziejami. Oto pańskie dwieście luidorów, a jeśli podobna pomyłka zdarzyłaby się w przyszłości, proszę domagać się zwrotu, powołując się na Morgana.



Przy tych słowach zamaskowany człowiek położył trzos złota przed handlarzem winem, pozdrowił dwornie zgromadzonych biesiadników i wyszedł, pozostawiając jednych w przerażeniu, a innych w osłupieniu spowodowanym podobną śmiałością.



## Rozdział II

### Włoskie przysłowie

Dokładniej mówiąc, choć dwie przytoczone reakcje dominowały, nie objawiały się one w podobnym stopniu u wszystkich zebranych. Ich poziom zależał od płci, wieku, charakteru, a nawet, można powiedzieć, od pozycji społecznej uczestników opisanej sceny.

Jean Picot, handlarz winem, najważniejszy uczestnik właśnie rozgrywającego się wydarzenia, od pierwszego spojrzenia rozpoznał po ubraniu, broni i masce jednego z ludzi, z którymi miał do czynienia dnia poprzedniego. Najpierw zafascynowało go zdumienie. Następnie, zrozumiałszy stopniowo powód wizyty, jaką składał mu tajemniczy bandyta, przeszedł od osłupienia do radości, doświadczając przy tym wszystkich przejściowych stanów, oddzielających te dwa uczucia. Jego worek złota leżał tuż przed nim, a on sprawiał wrażenie, jak gdyby nie śmiał go dotknąć. Może obawiał się, że jeśli wyciągnie rękę, trzosa ulotni się jak złoto, które widzimy w snach i które znika, zanim jeszcze otworzymy oczy podczas tej chwili stopniowego powrotu do świadomości, oddzielającej głęboki sen od pełnego przebudzenia.

Gruby pan i jego żona, podobnie zresztą jak i pozostali pasażerowie z tego samego dyliżansu, byli w najwyższym stopniu szczerze przerażeni. Mężczyzna siedzący po lewej stronie Jeana Picota, gdy spostrzegł, że bandyta zbliża się do handlarza winem, zaczął się od niego odsuwać w iluzorycznej nadziei zachowania bezpiecznej odległości pomiędzy sobą i towarzyszem Jehu. W rezultacie napierał swym krzesłem na krzesło małżonki, która z kolei również zaczęła się przemieszczać w lewo. Ale ponieważ następne miejsce zajmował obywatel Alfred de Barjols, niemający najmniejszych powodów, by obawiać się ludzi, którym wystawił bardzo zaszczytną i korzystną opinię, krzesło żony grubego pana napotkało przeszkodę w postaci nieruchomego, młodego szlachcica. W ten sposób wycofywanie się ustało, podobnie jak pod Marengo osiem lub dziewięć miesięcy później, gdy głównodowodzący stwierdził, że czas najwyższy na wznowienie ofensywy.

Natomiast jeśli chodzi o obywatela Alfreda de Barjols, jego postawę określić można jako postawę osoby nie tylko nieodczuwającej żadnych obaw, ale wręcz spodziewającej się tego wydarzenia, jakkolwiek byłoby ono nieoczekiwane. Podobnie zachowywał się ksiądz, który opowiedział o królu Izraela Jehu i misji, jaką otrzymał od Elizeusza. Alfred de Barjols z uśmiechem na twarzy przyglądał się człowiekowi w masce. Gdyby wszyscy biesiadnicy nie byli tak pochłonięci dwoma głównymi aktorami rozgrywającej się sceny, mogliby spostrzec dyskretną wymianę spojrzeń pomiędzy bandytą i młodym szlachcicem. Zaraz po tym podobna komunikacja wzrokowa nastąpiła między panem de Barjols i księdzem.

Dwaj podróżni, których wprowadziliśmy do sali jadalnej i posadziliśmy na końcu stołu w pewnym oddaleniu od pozostałych, wykazali się dwoma różnymi postawami odpowiadającymi ich różnym charakterom. Młodszy odruchowo przesunął rękę do swego boku, jakby w poszukiwaniu broni. Jednocześnie podniósł się jak wyrzucony sprężyną, z zamiarem skoczenia na zamaskowanego człowieka. Niechybnie doszłoby do tego, gdyby był tam sam, lecz starszy, który zdawał się nie tylko być przyzwyczajony do wydawania rozkazów, ale również mieć prawo to czynić, zadowolił się – podobnie jak nieco wcześniej – przytrzymaniem towarzysza za ubranie. Nakazał mu twardym, władczym głosem:

– Siadaj, Rolandzie!

Młody człowiek usiadł.

Jedynym z współbiesiadników, który pozostał – przynajmniej pozornie – kompletnie obojętny na rozgrywającą się scenę, był słusznego wzrostu mężczyzna w wieku trzydziestu trzech lub trzydziestu czterech lat o włosach blond i rudej brodzie. Miał spokojną i miłą twarz, duże niebieskie oczy, jasną cerę, inteligentne i delikatne usta. Mówił z akcentem zdradzającym, że urodził się na wyspie, z którą w tym czasie francuski rząd prowadził zażartą wojnę. Pomimo owego akcentu mówił po francusku nadzwyczaj dobrze, na ile można było to ocenić na podstawie niewielu wygłoszonych przezeń zdań. Starszy z dwóch podróżnych zadrżał na odgłos słów noszących akcent spoza kanału La Manche i odwróciwszy się do swego towarzysza nawykłego do odczytywania myśli z jego spojrzenia, zdawał się pytać wzrokiem, jak to możliwe, że Anglik przebywa we Francji, podczas gdy te dwa narody są w stanie zacieklej wojny, która rzecz jasna, wypędziła Anglików z Francji, podobnie jak Francuzów z Anglii. Z pewnością Roland nie miał na to żadnej odpowiedzi, bo spojrzawszy na towarzysza bezradnie i wzruszył ramionami, co miało znaczyć: „Wydaje mi się to równie niezwykle,

jak tobie, lecz jeśli ty, nadzwyczajny matematyk, nie znajdujesz rozwiązania tego problemu, niczemu nie służy zwracanie się z pytaniem do mnie”.

Jedyne, co nie ulegało wątpliwości dla dwóch młodych ludzi, to fakt, że blondyn z anglosaskim akcentem był podróżnym, na którego przed drzwiami hotelu czekała wygodna kalesza, gotowa do drogi, a on sam pochodził z Londynu lub też jakiegoś hrabstwa czy księstwa w Wielkiej Brytanii.

Jak już wspomnieliśmy, zabierał głos rzadko, bardzo rzadko. W rzeczywistości były to częściej wykrzykniki niż słowa. Jednak po każdym wyjaśnieniu dotyczącym sytuacji we Francji Anglik ostentacyjnie wyciągał z kieszeni notatnik i prosił bądź handlarza winem, bądź księdza, bądź też młodego szlachcica o powtórzenie wyjaśnienia. Każdy czynił to z uprzejmością równą grzeczności, z jaką była formułowana prośba. Anglik notował to, co w wypowiedziach było najistotniejsze, najbardziej niezwykle lub najbardziej malownicze w napadzie na dylizans, w sytuacji w Wandei i w informacjach o towarzyszach Jehu. Za każdym razem dziękował słowem i gestem z tą sztywnością typową dla naszych zamorskich przyjaciół, chowając do bocznej kieszeni redyngotu<sup>86</sup> notatnik wzbogacony o nowy zapis.

Wreszcie, niczym teatralny widz, uradowany nieoczekiwanym zakończeniem, krzyknął z zadowolenia na widok zamaskowanego mężczyzny. Słuchał i patrzył z uwagą, nie spuszczać go z oka, dopóki nie zamknęły się za nim drzwi. Wówczas pospiesznie wyciągnął swój notatnik z kieszeni.

– Och, drogi panie – zwrócił się do swego sąsiada, którym akurat był ksiądz – nie jestem pewny, czy wszystko zapamiętałem. Czy byłbyś łaskaw powtórzyć mi słowo w słowo to, co mówił dżentelmen, który stąd wyszedł?

Natychmiast zabrał się do pisania i przy wsparciu swej pamięci pamięcią księdza, z satysfakcją udało mu się zanotować wszystko, co towarzysz Jehu powiedział do obywatela Jeana Picota.

Po skończeniu pisma wygłosił następujące słowa, którym jego akcent nadał cechy oryginalności:

– Och! Jedynie we Francji zdarzają się podobne rzeczy. Francja to najciekawszy kraj na świecie. Panowie, jestem zachwycony, mogąc podróżować po Francji i poznawać Francuzów.

Ostatnie zdanie zostało wypowiedziane z taką kurtuazją i powagą, że po ich wysłuchaniu nie pozostało zebrany nic innego jak podziękować mówcy, nawet jeśli był potomkiem zwycięzców spod Crécy, Poitiers i Azincourt<sup>87</sup>.

Młodszy z dwóch podróżnych odpowiedział na tę grzeczność z beztroską uszczypliwością, która zdawała się cechą jego charakteru.

– Na honor! Całkowicie się z panem zgadzam, milordzie. Mówię „milordzie”, bo przypuszczam, że jest pan Anglikiem.

– Ma pan rację – potwierdził dżentelmen – mam zaszczyt nim być.

– Cieszę się! Zatem jak mówiłem – kontynuował młodzieniec – jestem zachwycony podróżą przez Francję i widokiem tego, co ujrzałem. Tylko pod rządami obywateli Gohiera, Moulinsa, Rogera Ducosa, Sieyèsa i Barrasa można być świadkiem równie dowcipnej sceny. Jeśli za pięćdziesiąt lat ktoś opowie, że w trzydziestotysięcznym mieście w biały dzień drogowy rabuś w masce na twarzy z dwoma pistoletami i szablą u pasa przychodzi oddać uczciwemu handlarzowi dwieście luidorów, które skradziono mu dnia poprzedniego i z których utratą pocziwiec już się pogodził, jeśli doda do tego, że odbyło się to podczas posiłku przy stole, gdzie zasiadało dwadzieścia lub dwadzieścia pięć osób, a ów wzorowy bandyta spokojnie sobie odszedł, bo nikt mu w tym nie przeszkodził, to założę się, że opowiadający podobną anegdotę uznany zostanie za skończonego łgarza.

Po tych słowach Roland przechylił się na krześle i wybuchnął tak nerwowym i przeraźliwym śmiechem, że wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem. Jego towarzysz utkwiał w nim wzrok z niemal ojcowskim zaniepokojeniem.

Alfred de Barjols, który podobnie jak inni zdawał się pozostawać pod wrażeniem owego śmiechu, raczej smutnego lub nawet bolesnego niż wesołego, odezwał się, gdy Roland przestał rechotać:

– Pan pozwoli, że zwrócę mu uwagę, iż człowiek, którego pan widział, nie jest bynajmniej drogowym rabusiem.

– Ach tak? Kimże więc jest?

– Najprawdopodobniej, podobnie jak pan i ja, pochodzi z dobrej rodziny.

<sup>86</sup> Redyngot – długi płaszcz z pelerynką i wysokim kołnierzem, który był używany do jazdy konnej przez mężczyzn.

<sup>87</sup> Bitwy pod Crécy, Poitiers i Azincourt – trzy bitwy wojny stuletniej (Crécy – dwudziesty szósty sierpnia 1346 roku, Poitiers – dziewiętnastego września 1356 roku, Azincourt – dwudziestego piątego października 1415 roku) wygrane przez Anglię pomimo przewagi liczebnej wojsk francuskich; w bitwach tych istotną rolę odegrali angielscy łucznicy.

– Hrabia de Horn<sup>88</sup>, którego regent skazał na łamanie kołem na placu de Grève też pochodził z dobrej rodziny, czego najlepszym dowodem była obecność karoc całej paryskiej szlachty podczas jego egzekucji.

– Hrabia de Horn, o ile dobrze sobie przypominam, zamordował jakiegoś Żyda, by ukraść mu weksel, którego nie był w stanie wykupić. A nikt nie powie, że przez towarzyszy Jehu spadł mu włos z głowy.

– No dobrze, niech będzie! Założmy, że jest to organizacja o charakterze dobroczynnym, mająca na celu zniwelowanie różnic majątkowych, odwrócenie kaprysów losu i naprawienie społecznych nadużyć. Ale nawet będąc złodziejem typu Karol Moor<sup>89</sup>, pański przyjaciel Morgan... bo tak się chyba przedstawił ten dzielny obywatel?

– Właśnie tak – podchwycił Anglik.

– No więc tym niemniej pański przyjaciel Morgan pozostaje złodziejem.

Obywatel Alfred de Barjols pobladł.

– Obywatel Morgan nie jest moim przyjacielem – odparł młody arystokrata – a jeśli by nim był, to jego przyjaźń poczytywałbym sobie za zaszczyt.

– Och, nie wątpię – Roland ponownie wybuchnął śmiechem. – Jak powiadał pan Wolter: „Przyjaźń wielkiego człowieka jest dobrodziejstwem bogów”<sup>90</sup>.

– Rolandzie, Rolandzie! – ściszone głosem uspakajał go towarzysz.

– Och, generale – niewykłuczone, że Roland specjalnie ujawnił jego tytuł – proszę pozwolić mi kontynuować tę dyskusję, która interesuje mnie w najwyższym stopniu.

Podróżny nazwany generałem wzruszył ramionami.

– Jednakże, obywatelu – młodzieniec kontynuował z niezwykłym uporem – trzeba mnie oświecić: minęły dwa lata od mojego wyjazdu z Francji i od tego czasu tyle się tutaj zmieniło: ubranie, obyczaje, akcent, że język może też nie jest już ten sam. Jak w dzisiejszym języku używanym we Francji nazywacie napad na dyliżans i zabranie pieniędzy, które on przewozi?

– Szanowny panie – głos młodego arystokraty wskazywał na to, że zmierza prowadzić dyskusję do końca – ja nazywam to prowadzeniem wojny. Oto pański towarzysz, nazwany przed chwilą generałem, jako wojskowy może panu powiedzieć, że poza przyjemnością zabijania i dawania się zabić, dowódcy od najdawniejszych czasów robią to samo, co obywatel Morgan.

– Co! – krzyknął młody człowiek, a jego oczy miały błyskawice – śmiesz pan porównać...?

– Pozwól panu rozwinąć swą myśl, Rolandzie – przerwał mu generał, którego oczy skryły się za zasłoną długich rzęs, by nie pokazać, co działo się w sercu, w przeciwieństwie do oczu młodszego towarzysza powiększonych i gotowych, by ciskać płomienie.

– No proszę – głos młodzieńca stał się urywany – teraz również i pana zaczyna interesować ta dyskusja.

A zwróciwszy się do rozmówcy, z którym wiódł dysputę, powiedział:

– Niech pan kontynuuje. Proszę kontynuować. Generał pozwala.

Młody szlachcic poczerwieniał w sposób równie widoczny, jak przed chwilą zbladł. Zacisnął zęby, oparł łokcie na stole i pochylił się z brodą na pięści, by być jak najbliżej swego przeciwnika. Im gorętsza stawała się dyskusja, tym bardziej jego głos zatracił o prowansalski akcent.

– Skoro *generał* pozwala – podjął, naciskając na słowo „generał” – mam zaszczyt w odpowiedzi oznajmić jemu i tobie, obywatelu, że jeśli dobrze sobie przypominam to, co czytałem u Plutarcha<sup>91</sup>, to w podróż do Indii, Aleksander<sup>92</sup> zabrał ze sobą tylko osiemnaście lub dwadzieścia talentów<sup>93</sup> złota, odpowiednik jakichś stu lub stu dwudziestu tysięcy franków. Czy uważacie, że te osiemnaście lub dwadzieścia talentów złota wystarczyło mu na wyżywienie armii, wygranie bitwy nad Granikiem<sup>94</sup>, podporządkowanie sobie Azji Mniejszej, podbicie Tyru, Gazy, Syrii i Egiptu, na zbudowanie Aleksandrii, pójście do Libii, ogłoszenie się synem Jowisza przez wyrocznię Ammona, dotarcie aż do Hyphase i ponieważ żołnierze odmówili pójścia dalej, na powrót do Babilonu, by w zbytku, rozpuszcie i ociężałości przewyższyć najzbytłowniejszych, najroz-

<sup>88</sup> Antoine-Joseph de Horn (1697-1720) – arystokrata, krewniak regenta Francji, skazany na łamanie kołem za zaszytowanie spekulantów giełdowego w celach rabunkowych.

<sup>89</sup> Karol Moor – szlachetny rozbójnik z dramatu Fryderyka Schillera *Zbójcy*.

<sup>90</sup> „Przyjaźń...” – cytat z wystawionej po raz pierwszy w 1718 roku tragedii Woltera *Edyp*.

<sup>91</sup> Plutarch (50-125) – grecki pisarz, filozof i historyk, autor *Żywotów* – biografii słynnych postaci starożytności.

<sup>92</sup> Aleksander Macedoński (356-323 p.n.e.) – król Macedonii od 336 roku p.n.e., jeden z największych dowódców w historii, nie przegrał żadnej bitwy; rozbił imperium perskie, jego państwo rozciągało się od Grecji i Egiptu po granice Indii; zmarł w Babilonie.

<sup>93</sup> Talent (łac. *talentum* od gr. *tálon* – ciężar) – największa jednostka miary masy i pieniądza, używana w starożytności (w Asyrii, Babilonii, starożytnej Grecji i Palestynie).

<sup>94</sup> Bitwa nad Granikiem (334 p.n.e.) – pierwsze zwycięstwo Aleksandra Macedońskiego nad Persami.

pustniejszych i najlubieżniejszych władców Azji? Czyż czerpał pieniądze z Macedonii? A czy król Filip, jeden z najuboższych władców biednej Grecji, honorował weksle, które syn wystawiał na niego? Nic z tych rzeczy. Aleksander postępował tak, jak obywatel Morgan, tyle że miał napadać dyliżanse na drodze, grabił miasta, nakładał okupy na królów, obciążał kontrybucjami podbite kraje. Przejdźmy do Hannibala<sup>95</sup>. Wiecie, z czym wyruszył z Kartaginy, prawda? Nie posiadał nawet osiemnastu lub dwudziestu talentów Aleksandra, ale ponieważ potrzebował pieniędzy, pomimo pokoju i wbrew traktatom zajął i złupił miasto Sagunto. Dopiero po takim wzbogaceniu się mógł rozpocząć kampanię. Muszę doprecyzować: tym razem to nie z Plutarcha, lecz z Korneliusza Neposa<sup>96</sup>. Daruję wam jego przejścia przez Pireneje, przekroczenie Alp, trzy wygrane bitwy, w których zagarnął skarby pokonanych, i przejdę do pięcio- lub sześcioletniego pobytu w Kampanii. Czy sądzicie, że on i jego ludzie płacili za wszystko mieszkańcom Kapui, a bankierzy z Kartaginy, z którymi był skłócony, przysyłali mu pieniądze? Nie. Wojna żywiła wojnę, czyli system Morgana, obywatele. Przejdźmy do Cezara. O! Cezar to inna sprawa. Wyruszył z Hiszpanii z jakimiś trzydziestoma milionami długu. Udało mu się z grubsza z niego wyjść. Przybył do Galii i pozostawał u naszych przodków przez dziesięć lat. Przez ten czas wysłał ponad sto milionów do Rzymu. Przeszedł przez Alpy, przekroczył Rubikon i skierował się wprost na Kapitol. Wyważył bramę świątyni Saturna, gdzie znajduje się skarbiec, zabrał z niego trzy tysiące funtów złota w sztabach na potrzeby własne, nie republiki, i został zabity. Dwadzieścia lat wcześniej wierzyciele nie pozwalali mu wyjść z jego małego domku przy ulicy Suburra. Po swej śmierci pozostawił po dwa lub trzy tysiące sestercji<sup>97</sup> na każdego obywatela, dziesięć lub dwanaście milionów Kalpurnii<sup>98</sup> i trzydzieści lub czterdzieści milionów Oktawianowi<sup>99</sup>. Ciągłe system Morgana, tyle że Morgan wolałby zginąć, niż dla własnych potrzeb ruszyć pieniądze Galów lub złoto z Kapitolu. A teraz przeskoczmy o tysiąc osiemset lat i przejdźmy do generała *Buonaparté*...

Młody arystokrata, podobnie jak wszyscy wrogowie zwycięzcy z Italii, wyraźnie wymówił „u”, które Bonaparte usunął ze swego nazwiska, i „e”, pozbawione przez generała akcentu<sup>100</sup>.

To najwyraźniej podsycało wzburzenie Rolanda. Uczynił gest, jakby się chciał rzucić na mówiącego, ale jego towarzysz go powstrzymał.

– Pozwól dokończyć, Rolandzie. Jestem przekonany, że obywatel Barjols nie nazwie złodziejem generała *Buonaparté*, jak on to mówi.

– Nie, ja go tak nie nazwę, ale jest pewne włoskie przysłowie, które czyni to za mnie.

– Przysłowie, jakie? – tym razem zamiast Rolanda pytanie zadał generał i utkwiał w młodym szlachcicu swe przezroczyste, spokojne i głębokie spojrzenie.

– Oto ono w całej swej prostocie: „*Francesi non sono tutti ladroni, ma buona, parte*”, co znaczy: „Nie wszyscy Francuzi są złodziejami, ale...”.

– Znaczna większość? – przerwał Roland.

– Tak, ale *Buonaparté*... – zgodził się Alfred de Barjols.

Ledwie obraźliwe słowa zabrzmiały z ust młodego arystokraty, gdy talerz spoczywający przed Rolandem wyśladował na twarzy mówiącego.

Kobiety krzyknęły, mężczyźni gwałtownie się podnieśli.

Roland wybuchnął charakterystycznym dla niego nerwowym śmiechem i opadł na krzesło.

Młody arystokrata zachował spokój, choć strużka krwi spływała mu z rozciętej brwi na policzek.

W tym momencie wszedł przewoźnik i wygłosił standardową formułę:

– Obywatele podróżni, odjeżdżamy, proszę wsiadać!

Podróżni, by jak najszybciej opuścić miejsce awantury, pośpiesznie wymykali się na zewnątrz.

– Za pozwoleniem – Alfred de Barjols zwrócił się do Rolanda – pan nie jest z dyliżansu, mam nadzieję?

– Nie, ja jestem z pocztowego powozu. Ale proszę się nie obawiać, ja nie odjeżdżam.

– Ani ja – niespodziewanie oświadczył Anglik – proszę wyprząć konie, zostaję.

<sup>95</sup> *Hannibal* (247-183 p.n.e.) – polityk i generał starożytnej Kartaginy, uznawany za jednego z największych dowódców wojskowych w historii.

<sup>96</sup> *Korneliusz Nepos* (ok. 100-24 p.n.e.) – rzymski historyk, jeden z pierwszych biografów słynnych ludzi starożytności, autor dzieła *O wybitnych mężach*.

<sup>97</sup> *Sestercja* – rzymska moneta powszechnie używana w starożytności.

<sup>98</sup> *Kalpurnia* (I wiek p.n.e.) – od 59 p.n.e. żona Cezara, trzecia i ostatnia.

<sup>99</sup> *Oktawian August* (63 p.n.e.-14 n.e.) – adoptowany syn Cezara; w 43 roku p.n.e. zawarł porozumienie z Markiem Antoniuszem i Markiem Lepidusem, który władał Rzymem; po utracie wpływów przez Lepidusa w 36 roku p.n.e. i śmierci Antoniusza w 30 roku p.n.e. stał się jednowładcą; w 27 roku p.n.e. został uznany za pierwszego cesarza rzymskiego.

<sup>100</sup> Francuzi nazwisko „Bonaparte” z powodu braku owego „é” na końcu wymawiają jako „Bonapart”.

– Natomiast ja odjeżdżam – z westchnieniem powiedział młody brunet, którego Roland tytułował generałem. – Wiesz, przyjacielu, że to konieczne. Moja obecność jest tam niezbędna. Zapewniam, że nie opuściłbym cię nigdy w ten sposób, gdyby nie było to konieczne...

Mówił te słowa ze wzruszeniem, co wydawało się nieco prawdopodobne, ponieważ jego głos był zazwyczaj zwyczajny i metaliczny.

Natomiast Rolanda przepełniała radość. Rzecz by można, że jego bojowa natura rozkwitała wraz ze zbliżającym się niebezpieczeństwem, którego jeśli nawet nie prowokował, to z pewnością nie starał się uniknąć.

– W porządku, generale! – odparł. – Mieliliśmy się rozstać w Lyonie, jako że był pan łaskawy dać mi miesiąc urlopu, bym mógł odwiedzić moją rodzinę w Bourg. Po prostu przejedziemy wspólnie o sześćdziesiąt lig mniej, to wszystko. Dołączę do pana w Paryżu, ale jeśli tylko poczuje pan potrzebę oparcia się na oddanym sobie człowieku, który nie kaprysi, proszę pamiętać o mnie.

– Możesz być tego pewny, Rolandzie – upewnił go generał.

Następnie, popatrzywszy uważnie na dwóch przeciwników, dodał:

– Przede wszystkim, Rolandzie – mówił do swego towarzysza z niezwykłą czułością – nie pozwól się zabić. Jeśli to możliwe, nie zabijaj też swego przeciwnika. W sumie ten młodzieniec jest człowiekiem wielkiego serca, a ja pewnego dnia chcę mieć ze sobą wszystkich ludzi wielkiego serca.

– Postaram się załatwić sprawę jak najlepiej, generale. Proszę być spokojnym.

W tej chwili w drzwiach ukazał się gospodarz.

– Powóz pocztowy do Paryża czeka gotowy – oznajmił.

Generał zabrał z krzesła kapelusz i laskę, a następnie wyszedł.

Natomiast Roland poszedł za nim z odkrytą głową, by w pokazać, że nie zamierzał odjechać ze swym towarzyszem, toteż Alfred de Barjols wcale nie zareagował na jego wyjście. Zresztą było bardziej niż oczywiste, że jego przeciwnik należy do tych, którzy raczej szukają zwady, niż jej unikają.

Roland towarzyszył generałowi aż do powozu. Generał wszedł.

– Mimo wszystko – powiedział – jest mi bardzo przykro pozostawić cię tutaj samego bez żadnej przyjaznej duszy, która posłużyłaby ci za świadka.

– Och! Proszę się o to nie martwić, generale. Świadek zawsze się znajdzie. Nigdzie nie brakuje ludzi ciekawych tego, by zobaczyć, jak jeden człowiek zabija drugiego.

– Do widzenia, Rolandzie. Zauważ, że nie mówię ci żegnaj. Mówię „do widzenia”!

– Tak, drogi generale – odparł młodzieniec niemal rozczulonym głosem. – Doskonale rozumiem i dziękuję.

– Obiecay mi, że napiszesz, jak tylko sprawa zostanie zakończona, lub poproś o to kogoś, gdybyś sam nie był w stanie pisać.

– Ależ proszę się nie obawiać, generale. Przed upływem czterech dni nadejdzie list ode mnie – zapewnił Roland, a z akcentem głębokiej goryczy dodał:

– Czy pan nie zauważył, że ciąży na mnie jakieś fatum, które nie pozwalałabym zginąć?

– Rolandzie! – generał zwrócił mu uwagę surowym tonem. – Znowu!

– Nic już, nic – młody człowiek potrząsnął głową i nadał swemu obliczu wyraz beztroskiej wesołości, która zapewne kiedyś miała zwyczaj gościć na jego twarzy, nim przytrafiło mu się jakieś nieszczęście, powodujące pragnienie śmierci u kogoś tak młodego.

– No dobrze. Przy okazji postaraj się dowiedzieć jednej rzeczy.

– Jakiej, generale?

– Jak to się dzieje, że w czasie, gdy prowadzimy wojnę z Anglią, jakiś Anglik porusza się po Francji równie swobodnie i spokojnie, jakby znajdował się u siebie.

– W porządku, dowiem się.

– W jaki sposób?

– Tego jeszcze nie wiem, ale z pewnością się dowiem, nawet jeśli bym musiał zadać pytanie jemu samemu.

– Co za narwanie! Nie prowokuj z tego powodu kolejnego pojedynku.

– W każdym razie, ponieważ jest wrogiem, nie będzie to pojedynek, ale wojenny epizod.

– No cóż, raz jeszcze do zobaczenia, uściskaj mnie.

Po takiej zachęce Roland z wyrazem olbrzymiej wdzięczności rzucił się generałowi na szyję.

– Och, generale! – zawołał. – Jakże byłbym szczęśliwy... gdybym nie był tak nieszczęśliwy!

Generał popatrzył na niego z głębokim przywiązaniem.

- Kiedyś opowiesz mi swoje nieszczęście, prawda, Rolandzie? – zapytał.  
Roland wybuchnął bolesnym śmiechem, który parokrotnie wytrysnął już z jego ust.  
– O, na honor, nie – odparł. – Za bardzo byś się śmiał.  
Generał spojrział na niego tak, jak się patrzy na szaleńca.  
– Ostatecznie – skwitował – trzeba brać ludzi takimi, jacy są.  
– Zwłaszcza gdy nie są tym, czym wydają się być.  
– Bierzesz mnie za Edypa<sup>101</sup> i każesz mi rozwiązywać zagadki, Rolandzie.  
– Ach! Jeśli rozwiążesz tę, generale, będziesz dla mnie królem Teb. Mówiąc jednak o mych szaleństwach, zapomniałem, że każda minuta się liczy, a ja niepotrzebnie zatrzymuję cię tutaj.  
– Masz rację. Chcesz, bym coś uczynił dla ciebie w Paryżu?  
– Trzy sprawy: pozdrowienia dla Bourrienne’a, wyrazy uszanowania dla pańskiego brata Lucjana<sup>102</sup> i niskie ukłony dla pani Bonaparte.  
– Będzie, jak sobie życzysz.  
– Gdzie znajdę cię w Paryżu?  
– W moim domu przy ulicy de la Victoire, a być może...  
– Być może...  
– Kto wie? Być może w Pałacu Luksemburskim<sup>103</sup>!  
Sadowiąc się w głębi powozu, sprawiał wrażenie, jakby żałował, że za dużo powiedział, nawet jeśli uczy-  
nił to najlepszemu przyjacielowi.  
– Droga na Orange! – rozkazał pocztylionowi. – Tak szybko, jak to możliwe.  
Pocztylion, który tylko na to czekał, zaciął konie batem i powóz szybko ruszył z grzmotem kół na bruku w stronę bramy Oulle.



<sup>101</sup> *Edyp* – mitologiczny król Teb, który nieświadomie zabił swego ojca i poślubił własną matkę; autor rozwiązania zagadki potwora Sfinksa.

<sup>102</sup> *Lucjan Bonaparte* (1775-1840) – młodszy brat Napoleona, polityk; od 1798 roku członek Rady Pięciuset, a w chwili przejścia władzy przez Napoleona jej przewodniczący; od 1803 roku w konflikcie z Napoleonem.

<sup>103</sup> *Pałac Luksemburski* – zbudowany w latach 1610-1630 przez królową Marię Medycejską pałac w Paryżu; od 1795 roku siedziba dyktoria, a od 1799 do 1800 roku – pierwszego konsula; obecnie siedziba francuskiego senatu.

## Rozdział III

### Anglik

Roland nie ruszał się z miejsca nie tylko podczas odjazdu powozu, ale jeszcze długo po jego zniknięciu. Potem, potrząsnąwszy głową, jakby chciał zrzucić z czoła przysłaniające je chmury, powrócił do hotelu i zażądał pokoju.

– Zaprowadź pana pod numer trzeci – gospodarz polecił pokojówce.

Dziewczyna zdjęła klucz z dużej, czarnej, drewnianej tablicy, na której w dwóch szeregach widniały białe numery, i skinęła na młodego podróżnego, by udał się za nią.

– Proszę mi przynieść papier, pióro i atrament – młodzieniec zwrócił się do gospodarza – a gdyby pan de Barjols pytał o mnie, proszę mu podać numer mojego pokoju.

Gospodarz przyobiecał zastosować się do życzeń Rolanda, który gwizdząc *Marsyliankę* poszedł schodami za pokojówką.

Pięć minut później siedział przy stole i miał przed sobą papier, pióro i atrament. Zabierał się do pisania, lecz w momencie, gdy miał skreślić pierwsze litery, ktoś trzykrotnie zastukał do drzwi.

– Proszę wejść – powiedział i odepchnąwszy się nogami, uczynił piruet fotelem, na którym siedział, tak by znaleźć się twarzą do drzwi, gdzie spodziewał się ujrzeć pana de Barjols bądź któregoś z jego przyjaciół.

Drzwi otworzyły się regularnym ruchem, jakby napędzał je jakiś mechanizm, i na progu pojawił się Anglik.

– Coś takiego! – zawołał Roland, zachwycony wizytą ułatwiającą mu wykonanie polecenia generała. – To pan?

– Tak – odparł Anglik – to ja.

– Jest pan mile widziany.



– O! Jeśli jestem mile widziany, to tym lepiej! Bo nie byłem pewny, czy mogę przyjść.

– A to dlaczego?

– Z powodu Abukiru.

Roland zareagował śmiechem.

– Były dwie bitwy pod Abukirem<sup>104</sup> – skomentował – jedną przegraliśmy, a drugą wygraliśmy.

– Z powodu tej, którą przegraliście.

– Co tam! – skwitował Roland. – Bijemy się, zabijamy i wyniszczamy na polu bitwy. Ale to nie przeszkadza, by na neutralnym terenie uścisnąć sobie dłoń. Zatem powtarzam, jest pan mile widziany, zwłaszcza jeśli pan wyjawi cel swojej wizyty.

– Dziękuję. Ale najpierw proszę to przeczytać.

Anglik wyciągnął z kieszeni jakiś papier.

– Co to jest? – spytał Roland.

– Mój paszport.

– A po cóż mi pański paszport – zdziwił się Roland. – Nie jestem żandarmem.

– Nie, ale ponieważ przychodzę zaoferować panu swoje usługi, może nie zechciałby pan ich przyjąć, nie wiedząc, kim jestem.

– Pańskie usługi?

– Tak, ale proszę najpierw przeczytać.

*W imieniu Republiki Francuskiej dyktorial wykonawczy zezwala na swobodne przemieszczanie się oraz pomoc i opiekę w razie konieczności sir Johnowi Tanlay'owi na całym terytorium republiki.*

*Podpisano: Fouché<sup>105</sup>.*

– Proszę zobaczyć jeszcze poniżej.

*Polecam szczególnie upoważnionym osobom sir Johna Tanlaya, będącego dobroczyńcą i przyjaciele wolności.*

*Podpisano: Barras.*

– Przeczytał pan?

– Tak, przeczytałem. Ale co z tego?

– Och! Co z tego? Mój ojciec, lord Tanlay oddał ważne usługi panu Barrasowi. Dlatego właśnie pan Barras pozwala mi podróżować po Francji, a ja się z tego bardzo cieszę. Doskonale się bawię.

– Tak, przypominam sobie, sir John. Miał pan już zaszczyt poznać nam to przy stole.

– To prawda, mówiłem o tym. Powiedziałem również, że lubię Francuzów.

Roland się uklonił.

– A zwłaszcza generała Bonaparte – kontynuował sir John.

– Lubi pan generała Bonaparte?

– Podziwiam go. To wielki, bardzo wielki człowiek.

– Tam do licha! Sir John, jaka szkoda, że sam nie może słyszeć tego, co Anglik o nim mówi.

– Och! W jego obecności nigdy bym tego nie powiedział.

– A to dlaczego?

– Nie chciałbym, by pomyślał, że chcę mu się przypodobać. A ja tak mówię, ponieważ taka jest moja opinia.

– Nie wątpię, milordzie – Roland nie miał pojęcia, do czego zmierza Anglik, i po obejrzeniu paszportu zachowywał w stosunku do niego pewien dystans.

– Więc gdy zobaczyłem – kontynuował Anglik z tą samą flegmą – że broni pan generała Bonaparte, sprawiło mi to przyjemność.

– Naprawdę?

<sup>104</sup> *Bitwy pod Abukirem* – bitwa morska (pierwszy i drugi sierpnia 1798 roku), w której dowodzona przez Horatio Nelsona flota brytyjska rozbiła flotę francuską; bitwa lądowa (dwudziesty piąty lipca 1799 roku), w której armia Bonapartego rozbiła przeważające siły tureckie dowodzone przez Mustafę Paszę.

<sup>105</sup> Joseph Fouché (1759-1820) – francuski polityk, za dyktorialu, konsulatu i cesarstwa minister policji.

- Nawet dużą przyjemność – potwierdził Anglik i przytaknął przy tym głową.
- To mnie cieszy.
- Ale gdy ujrzałem, jak pan rzucasz talerzem w głowę pana Alfreda de Barjols, sprawiło mi to przykrość.
- Sprawiało panu przykrość, milordzie, a to czemu?
- Ponieważ w Anglii dżentelmen nie rzuca talerzem w głowę innego dżentelmena.
- Och, milordzie! – Roland uniósł i zmarszczył brwi. – Czyżby pan przyszedł, by udzielać mi lekcji?
- Nic podobnego. Przyszedłem, by pana spytać, czy nie potrzebujesz przypadkiem świadka?
- Na honor, sir John, wyznam panu, że w chwili, gdy zapukałeś do drzwi, zastanawiałem się akurat nad tym, kogo mógłbym poprosić o taką przysługę.
- Mnie – oznajmił Anglik. – Jeśli pan sobie życzy, będę twoim świadkiem.
- Dalibóg! – ucieszył się Roland. – Przyjmuję z otwartym sercem!
- Oto przysługa, jaką chciałem panu wyświadczyć.
- Roland podał mu rękę.
- Dziękuję – powiedział.
- Anglik się uklonił.
- A teraz – rzekł Roland – ponieważ był pan uprzejmy przedstawić się przed zaoferowaniem swoich usług, z chwilą, gdy je przyjąłem, wypada, bym i ja powiedział, kim jestem.
- Och! Jeśli pan sobie życzy.
- Nazywam się Louis de Montrevel. Jestem adiutantem generała Bonaparte.
- Adiutant generała Bonaparte! Jakże się cieszę!
- To wyjaśnia, dlaczego wziąłem w obronę, może zbyt gwałtownie, mojego generała.
- Nie, niezbyt gwałtownie. Ale talerz...
- Tak, zgadzam się. Zaczepka mogła się odbyć bez talerza. Ale co pan chce! Miałem go w dłoni, nie wiedziałem, co robić, więc rzuciłem nim w głowę pana de Barjols. Właściwie to on sam poleciał, bez mojej wiedzy.
- Nie powie pan tego przeciwnikowi?
- O! Proszę być spokojnym. Mówię to tylko panu, by uspokoić pańskie sumienie.
- Doskonale, zatem bije się pan?
- Przynajmniej po to zostałem.
- A jaką bronią chce się pan bić?
- To nie należy do pana, milordzie.
- Jak to nie należy do mnie?
- Nie, ponieważ pan de Barjols jest obrażony, do niego należy wybór broni.
- Zatem zgodzi się pan na broń, którą on proponuje?
- Nie ja, sir John, ale pan w moim imieniu, ponieważ czynisz mi zaszczyt bycia moim świadkiem.
- A jeśli wybierze pistolet, to z jakiej odległości życzyłby pan sobie strzelać?
- Ustalenie tego należy do pana, milordzie, nie do mnie. Nie wiem, jak jest w Anglii, ale we Francji pojedynkowie nie mieszają się do niczego. Ustalenie szczegółowych warunków należy do świadków. Przyjmuje się to, co oni zdecydują.
- Więc to, na co ja się zgodzę, będzie poprawne?
- Całkowicie poprawne, milordzie.
- Anglik się uklonił.
- Godzina i dzień pojedynku?
- A jeśli o to chodzi, to jak najszybciej. Od dwóch lat nie widziałem mojej rodziny i chciałbym jak najszybciej wszystkich ucałować.
- Anglik spojrzał na Rolanda z pewnym zdumieniem. Młody człowiek mówił to z takim spokojem, jakby z góry miał pewność, że nie zostanie zabity.
- Ktoś zastukał do drzwi, a spoza nich dobiegł głos oberżysty:
- Czy można wejść?
- Roland odpowiedział twierdząco. Drzwi się otworzyły i wszedł przez nie gospodarz z biletem w dłoni. Oddał go lokatorowi.
- Młody człowiek odczytał zawartość biletu: „Charles de Valensolle”.
- To od pana Alfreda de Barjols – dodał gospodarz.

– Doskonale – ucieszył się Roland.

Podał bilet Anglikowi i powiedział:

– Proszę, to dla pana. Nie ma potrzeby, bym widział tamtego pana, bo w tym kraju przestaliśmy już być obywatelami... Pan de Valensolle jest świadkiem pana de Barjols, a pan jest moim. Uzgodnijcie między sobą warunki, ale – młody człowiek ścisnął dłoń Anglika i utkwivszy w nim wzrok, dodał – proszę się postarać, by wyglądało to poważnie. Odrzuć wasze ustalenia, jeśli nie będzie rzeczywistych szans na śmierć jednego z nas.

– Proszę być spokojnym – zapewnił Anglik. – Zrobię wszystko jak dla siebie samego.

– Doskonale, to do dzieła! Gdy już wszystko będzie gotowe, proszę wrócić. Ja się stąd nie ruszam.

Sir John wyszedł z oberżystą. Roland rozsiadł się w fotelu, uczynił piruet w odwrotnym kierunku i znalazł się przy stole.

Ujął pióro i zabrał się do pisania.

Gdy sir John powrócił, Roland po napisaniu i zapieczętowaniu dwóch listów umieszczał adres na trzecim.

Gestem dłoni poprosił Anglika, by pozwolił mu skończyć, zanim poświęci mu całą swą uwagę.

Po napisaniu adresu zapieczętował list i się odwrócił.

– A więc – spytał – wszystko gotowe?

– Tak – potwierdził Anglik – i wszystko odbyło się bardzo sprawnie. Ma pan do czynienia z prawdziwym dżentelmenem.

– Tym lepiej! – Roland był zadowolony.

Słuchał swego świadka z uwagą.

– Pojedynkujecie się za dwie godziny przy źródle Vaucluse, w uroczym zakątku, na pistolety, posuwając się jeden do drugiego. Każdy strzela w wybranym przez siebie momencie i może się zbliżać do przeciwnika po oddaniu przez niego strzału.

– Na honor! To mi się podoba, takie reguły bardzo mi odpowiadają. Czy to pan obmyślił to wszystko?

– Razem ze świadkiem pana de Barjols. Pański przeciwnik zrezygnował ze wszystkich przywilejów obrażonego.

– A sprawa broni?

– Zaproponowałem swoje pistolety. Po moim słowie honoru, że nie są znane ani panu, ani panu de Barjols, zostały zaakceptowane. To doskonała broń. Udaje mi się z nich rozcinać kulę na ostrzu noża odległego o dwadzieścia kroków.

– Cholera! Wydaje mi się, że pan doskonale strzela, milordzie.

– Tak, uchodzę za najlepszego strzelca w Anglii.

– Dobrze o tym wiedzieć. Gdy zechcę się dać zabić, poszukam z panem zwady.

– Och! Proszę nigdy nie szukać ze mną zwady – odparł Anglik. – Byłoby mi bardzo przykro, jeśli musiałbym stawać do pojedynku z panem.

– Postaram się nie sprawiać panu takiego cierpienia. Zatem za dwie godziny?

– Tak, mówił pan, że mu się śpieszy.

– W istocie. Jak daleko stąd do owego uroczego zakątka?

– Stąd do Vaucluse?

– Tak.

– Cztery ligi.

– Czyli potrzeba około półtorej godziny. Nie mamy czasu do stracenia. Skończmy najpierw z rzeczami nudnymi, by pozostały jedynie przyjemne.

Anglik przyglądał mu się ze zdumieniem.

Roland zdawał się w ogóle nie zwracać na to uwagi.

– Oto trzy listy – mówił – jeden do pani de Montrevel, mojej matki, jeden do panny de Montrevel, mojej siostry, i jeden do obywatela Bonaparte, mojego generała. Jeśli zginę, odda je pan po prostu na pocztę. Czy nie sprawi to panu kłopotu?

– Gdyby doszło do takiego nieszczęścia, zawiozę listy osobiście – odparł Anglik. – Gdzie mieszkają pańska matka i pańska siostra?

– W Bourg, głównym mieście departamentu Ain.

– To całkiem blisko – zauważył Anglik. – A co się tyczy generała Bonaparte, jeśli zajdzie potrzeba, pojedę do Egiptu. Będzie to dla mnie zaszczyt, móc się z nim spotkać.

– Jeśli zada pan sobie trud osobistego dostarczenia listu, milordzie, nie będzie pan zmuszony do odbycia tak dalekiej podróży. Za trzy dni generał Bonaparte będzie w Paryżu.

– Och! – powiedział Anglik bez najmniejszej oznaki zdziwienia. – Tak pan sądzi?

– Jestem tego pewny – odparł Roland.

– Generał Bonaparte to naprawdę nadzwyczajny człowiek. Wracając do naszych spraw, ma pan jeszcze jakieś inne życzenia, panie de Montrevel?

– Tylko jedno, milordzie.

– Och! Może być nawet kilka.

– Nie, dziękuję, tylko jedno, ale bardzo ważne.

– Proszę mówić.

– Jeśli zginę... choć wątpię, by spotkało mnie to szczęście...

Sir John patrzył na Rolanda tym zdumionym okiem, którym przyglądał mu się już dwa albo trzy razy.

– Jeśli zostanę zabity – powtórzył Roland – bo ostatecznie trzeba się ze wszystkim liczyć...

– Tak, jeśli zostanie pan zabity, słucham.

– Proszę słuchać uważnie, milordzie, bo jest to dla mnie niezwykle ważne, aby wszystko odbyło się dokładnie tak, jak panu powiem.

– Odbędzie się tak, jak pan powie – zapewnił sir John. – Jestem człowiekiem bardzo dokładnym.

– No więc jeśli zginę – nalegał Roland, położywszy dłoń na ramieniu swego świadka i ścisnąwszy je tak, jakby chciał wyrwać w jego pamięci zalecenia, które miał mu przekazać – proszę umieścić moje ciało w pełnym ubraniu, nie pozwalając, by ktokolwiek je dotykał, w ołowianej trumnie, która zostanie zaspawana w pańskiej obecności. Następnie tę trumnę ołowianą włożyć do trumny dębowej, która zostanie zabita gwoźdźmi, także w pańskiej obecności. I wreszcie wysłać pan to wszystko do mojej matki, albo jeśli pan woli, to można całość wrzucić do Rodanu. Ostateczny wybór pozostawiam panu, byle stało się tak, jak mówię.

– Ponieważ zawiozę listy – zauważył Anglik – nie sprawi mi problemu, by jednocześnie przetransportować trumnę.

– To niebywałe, milordzie – powiedział Roland i wybuchnął swym dziwnym śmiechem – jest pan uroczym człowiekiem. Z pewnością Opatrzność we własnej osobie sprawiła, bym pana spotkał. W drogę, milordzie, w drogę!

Wyszli z pokoju Rolanda. Na tym samym piętrze znajdował się pokój sir Johna. Roland poczekał na Anglika, który poszedł zabrać swoje pistolety.

Po kilku sekundach powrócił z pudełkiem zawierającym broń.

– A w jaki sposób udamy się do Vaucluse, milordzie? – spytał Roland. – Konno czy powozem?

– Powozem, jeśli nie ma pan nic przeciw temu. Powóz jest znacznie praktyczniejszy w przypadku zranienia. Mój czeka na dole.

– Zdawało mi się, że polecił pan wyprząć konie?

– Wydałem taki rozkaz, ale potem kazałem sprowadzić pocztyliona, by wydać mu nowy rozkaz.

Zeszli po schodach.

– Tom! Tom! – zawołał sir John i wyszedł na zewnątrz, gdzie czekał na niego lokaj w surowej angielskiej liberii. – Załaduj to pudełko.

– *I am going with, mylord?*<sup>106</sup> – spytał lokaj.

– Yes! – potwierdził sir John.

Następnie, wskazawszy Rolandowi opuszczony przez lokaja stopień kaleszy, powiedział:

– Zapraszam do wnętrza, panie de Montrevel.

Roland wsiadł do kaleszy i rozłożył się w niej wygodnie.

– Naprawdę – zauważył – tylko wy, Anglicy, znacie się na powozach do podróżowania. W pańskim człowieku czuje się jak we własnym łóżku. Założę się, że trumny też wyściełacie przed złożeniem zmarłego.

– Tak, w istocie – odpowiedział John – naród angielski nadzwyczaj docenia wygodę. Za to naród francuski jest ciekawszy i zabawniejszy... Pocztylion, do Vaucluse.



<sup>106</sup> „*I am...*” (ang.) – Czy mam panu towarzyszyć, milordzie?

**Chcesz przeczytać dalszą część?**  
***Zapraszamy do księgarni!***